

Reg. ob. 1936 Nr. 1782.

HALINA KRAHELSKA

POLSKI STRAJK

0135306

Pl. 2,609

331/438 : 891.85-31

WARSZAWA 1937

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

~~Wydawnictwo M. Skłodowska-Curie
Dział Biblioteczny
ul. Krakowska 10
00-245 Warszawa~~

№ 000077 *



148032

Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka Warszawa

D-152/83

... Przedewszystkiem powiedziec mu, że nie jest sam... Kassner szukał słów, liczył na palcach: musiał mówić językiem, w którym dopiero sylabizował, przed chwilą wtór tamtego pomógł mu. Ale już słyszał: NABIERZ OTUCHY!

(André Malraux)
„CZASY POGARDY”.

Ofiaruję tę powieść milionom obywateli polskich, pozbawionych możliwości ludzkiego życia i poprzez cały niewysłowiony tragizm współczesności pragnę — za pomocą tej książki — powiedziec im słowami francuskiego pisarza: „NABIERZ OTUCHY”.

PARĘ SŁÓW WSTĘPU

*Parę lat temu opracowałam artykuł na temat —
prawdy o stosunkach pracy.*

*Artykuł ten roił się od liczb, zawierał urzędowo
stwierdzony materiał w zakresie stanu ochrony
pracy.*

*Dziś reportaż ten odzwierciadla również stosun-
ki w fabrykach polskich. Obrałam tę formę lite-
racką, żeby zawarte tu dzieje dosięgły łatwiej umy-
słów i serc obywateli Rzeczypospolitej, żeby silniej
do nich przemówiły, niż to może zrobić suchy pro-
tokół lub opracowanie naukowe warunków pracy
w Polsce.*

*Stosunki takie, jak tu przedstawione, napotyka
się w różnych ośrodkach przemysłu polskiego. Cza-
sem — w całej rozpiętości odmalowanego tu wachla-
rza dotyczą jednej i tej samej fabryki (jakże*

wtedy upośledzonej!). Częściej występują w pewnych tego wachlarza fragmentach.

Reportaż ten jest więc równocześnie znów prawdą o stosunkach pracy w Polsce.

Czy książka ta ma na celu siać przygnębienie? Przenigdy! Każdy przecież rozdział jej świadczy wymownie o tem, że poprzez mrok i poniewierkę ludu — idzie już ku nam jasny wiew, świta lepszy dzień...

Jest to niedaleki już dzień zupełnego połączenia, dokonanej jedności robotniczo-chłopskiej.

I

PAN MAJSTER

Fabryka pod firmą „Szpilka“ była fabryką wyrobów trykotażowych. Wyra-
biano tam swetry, komplety ze swetrów
i spódniczek, czapek z szalami, pulowery,
bieliznę z cienkiego trykotu, dziecinne
sukienki, pończochy, rękawiczki. Fabry-
ka ta należała do najmłodszych w Polsce,
powstałych w latach kryzysu. Prawdo-
podobnie w ankietach instytucji nauko-
wo-badawczych, zawierających pytania
co do kapitału, zakładającego fabrykę zo-
stało o niej zaznaczone: „obcy kapitał“;
dziwić się też można, że po tragicznych
zdarzeniach, wyrosłych ze stosunków
w tej fabryce, prasa mieszczańska anty-
robotnicza nie podchwyciła tego moty-
wu: „obcy kapitał“. Tak długo, tak wy-
godnie, tak bezpiecznie pokrywało się
bagno naszych stosunków fabrycznych
ową „obcością“ kapitału! Otóż kapitał
w spółce akcyjnej p. f. „Szpilka“ był

międzynarodowym, jak każdy inny kapitał, różno-narodowym, mieszanym: składowe części tego kapitału były: polskie, żydowskie, austriackie, a zapewne i jeszcze inne. Natomiast dyrektorem zarządzającym z ramienia spółki (jednocześnie akcjonariuszem) był polak, Bronisław Baczyński. Baczyński był zupełnie podobny do olbrzymiej większości kierowników przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce i poza Polską. Zespół robotników fabryki stanowił dużą grupę: od razu przyjęto przeszło 300 osób, a potem porozszerzano jeszcze niektóre oddziały i dodatkowo przyjęto kilkadziesiąt kobiet. Wogóle kobiet pracowało tu więcej niż mężczyzn.

Ponieważ fabryka znajdowała się na krańcach miasta, dokonywano werbunku robotników w znacznej mierze z najbliższych wsi. W tej też drodze dostało się tu dużo młodziutkich dziewcząt, wyciskanych z wiejskich domów rodzicielskich przez potworną nędzę chłopskich rodzin. Niedożywienie, nędzne warunki egzystencji tych rodzin powodowały widoczne karłowacenie młodzieży, tak iż szesnastoletnie dziewczątka wyglądały często (co do wzrostu i tuszy) tak, jak dwu-

nastoletnie dziecko zamożniejszego domu. Te „smarkatki,” jak je przezywano w fabryce, obciążały życie załogi robotniczej istną plagą pełnej bezradności i bezbronności. Szły przecież do pracy na warunkach zupełnie dowolnych: przyjmowano je jakoby „na naukę” do wyrobu trykotaży i przez całe miesiące nie pobierały żadnej zapłaty. Pracować musiały natomiast tyleż godzin co reszta robotników i robotnic i przytem dodatkowo spełniać wszystko, co im kazał majster lub starsza robotnica.

Dziewczęta tu zazwyczaj bywały dodawane jako „uczenice” do trykotarek. Zamiatanie pracowni po pracy, przyniesienie wody do picia, inne posługi, to wszystko obarczało dziewczęta. Od nich też, od tych małych, rozpoczęła się ta swoista poniewierka kobiet, która wyraźna, jak grzyby po deszczu, na podłożu lat kryzysowych. Zaczęło się to od początku, w kilka tygodni po uruchomieniu fabryki. Właśnie wtedy rozszerzono wykończalnię, początkowo zbyt ciasną i do tej pracy w wykończalni poprzyjmowano dużo kobiet i dziewcząt.

Do pracy przyjmowali w fabryce wyłącznie majstrowie. Ich to było zadaniem

i ich przywilejem. Majster wykończalni miał w portjerze fabrycznym swojaka, całkiem mu powolnego. Nazywali się obaj podobnie: majster był Zielnik, a portjer — Zielak. Zgodnie z widoczną między nimi umową, już portjer Zielak odsortowywał odpowiedni materiał kobiecy dla wykończalni, a raczej poprostu płciowy dla Zielnika. Drobne, zachudzone dziewczyninki przychodziły bardzo często z matką lub ojcem, żeby omówić warunki. Dla tych dziewcząt ze wsi, a nawet i dla rodziców taki portjer, czysto odziany, mający na tytoń, odżywiony, był „panem“. To też proszenie, pochylanie się do ręki i t. p. już tu się zaczynało. Zielak robił srogą minę, wydymał pogardliwie usta, a wzrokiem bardzo byстрыm, wzrokiem „specy“ lustrował dziewczynkę. Jeżeli była niebrzydka, świeża pomimo zabiedzenia, albo miała w sobie jakiś przyrodzony pieprzyk, — decydował sam od razu. Do ojca (lub matki) mówił poważnie: „No, mała wygląda do rzeczy! Może się nada do pracy, musi się przykładać. Zostawicie ją tu: przedstawię ją majstrowi do lepszej pracy. Byleby się starała, to będziemy dla niej jak ojciec“... Rodzice dziękowali, kłaniali się, ocierali czasem

ły ze wzruszenia, kiwali małej surowo żeby się przykładała; sami zaś już kombinowali mozolnie, jak potrafią podziękować panu portjerowi.

Mała zostawała, pełna podniecenia nerwów i najróżowszych nadziei. Prędko też mogła przystąpić do pierwszej, zasadniczej w tej fabryce czynności: przykładania się, nie to, żeby do pracy, ale do majstra Zielnika w wykończalni. Portjer był rzetelny w podziale funkcyj, obowiązków i przywilejów: pilnował swej z majstrem umowy. Robotnicy nie doszli nigdy, jaki w tem wszystkim udział miał portjer, poza świadczeniami „w naturze“ od wiejskich rodziców: chyba swojak opłacał go pieniędzmi. Z dziewcząt bowiem Zielakowi nie wolno było nigdy naprzód skorzystać, chyba tylko czasem po majstrze i to kiedy majstrowi nie chciało się przykładać do takiej.

Ale mała przechodziła całą szkołę całkiem planowo. Po odejściu rodziców portjer kazał jej zawsze wejść do portjerni i tam dokładnie ją ze wszystkich stron badał: czy zwięzła w sobie, czy nie rozklapana, czy nie brudna na karku; czy pod pachami i pod piersiami nie cuchnie. Niektóre dziewczęta na pierwsze dotknię-

cie odpowiadały ostro, protestem i krzykiem. Nie dlatego, żeby im o samo dotknięcie szło, bo przecież swawole zdarzały się niejednej, choćby najbardziej dziecinnej dziewczynie, w domu, na zabawie, z rówieśnikami; ale tu, gdy przyszła do pracy, zarabiać, — takie coś! Niejedna krzyknęła i porwała się zaraz lecieć wślada za ojcem, ze skargą na „cygaństwo“. Portjer na ostre sposoby miał swoje ostre. Jeżeli dziewczyna była „udana,“ przytrzymał ją mocno, ręką usta zatykał, a do ucha syczał: „Ty głupia! ty kurwa! myślisz, że ci kto uwierzy!! Durna! nie rozumiesz, że pracy inaczej dziś nie dostaniesz; musimy wiedzieć, czy wszystko w sobie masz w porządku, czy się też już masz na rozsypki z bękartem zasranym! Durna! ładna jesteś i to majster może, owszem, uwzględnić, że lepszą robotę dostaniesz, ale jak ty tu przychodzisz hrabinę odstawiać, to wont i w te pędy, a już my tu tak po mieście roztelefonujemy, żebyś się nigdzie nie dostała do pracy!“

Najczęściej dziewczyna słabła w opozycji, czując tę zorganizowaną przemoc i władzę tych ludzi nad całą sprawą jej pracy i przyszłości.

Portjer rzadko komu o tem opowiadał, ale raz w gronie swoich przyjaciół wygadał się z tem, że mu tylko trzy dziewczyny od tego „badania“ uciekły: dwie — nie przyszły więcej, ale ich nie żałował, nie było to nic nadzwyczajnego: trzeciej szkoda mu było, bo była prawdziwie śliczna, cała jak ulana i sam miał na nią wprost straszliwy apetyt.

Ta wróciła zaraz tego dnia, weszła podstępnie, niby chciała: ale za nią wsunął się jakiś drab i.... Majster podał, że musiał draba obić: ale to się nie zgadzało, bo z czasu zdarzenia wypadło, że majster chodził potem przez kilka dni poharatanym na twarzy: chłopak musiał go dobrze nabić. Był to dziewczyny narzeczony.

Można było jednak wierzyć portjerowi, że nie zdarzyło się, na paręset, ponad trzy kobiety, któreby postawiły z miejscą cstry opór.

Reszta była pokorna, powolna, obojętna. Albo wiedziały już, że tak w fabryce b/wa, albo im było wszystko jedno: tu i tam w życiu, w służbie u państwa czy w fabryce — wszędzie poniewierka. Często spieszone, młode dziewczęta, poddawały się „badaniom“ portjera Zielaka z zakłopotaniem, powtarzając raz poraz:



„Ale co też pan? A poco to? A czy ja tu po to przychodzę?”

Przyjmowały też nieraz to za wstęp do przymusowego stosunku i rozglądały się — w lęku czy za jakąś pomocą? Często bywały to jeszcze dziewczyny, które nie znały mężczyzn.

Ale portjer wyprowadzał takie z błędu:

„Nie bój się: nic tu z tobą teraz nie zacznę, bo widzisz, mam otwierać każdemu: to nie mogę!...”

Tak dotrzymywał umowy ze swojakim.

Lubił zaś takie zetknięcia z dziewczętami, pasjami to lubił, bo miał pobudliwy temperament i to było dla niego najlepsze zajęcie.

Zdarzały się też oczywiście i dziewczęta, które chętnie się poddawały. Przecież były i takie, które przez życie zostały już wtrącone w poniewierkę dorabiania lub zarabiania na życie tą drogą.....

Ale większość, ogromna większość przychodziła tu tylko po pracę, z wielkiej potrzeby: niezależnie od tego, że nie śmiała stawiać żadnego oporu, głęboko odczuwała całe postępowanie z niemi jako piekącą krzywdę. Tem więcej, że

przytłaczająca większość z nich — (nie-dożywione, zabiedzone, niedorozwinięte z nędzy, długo wyczekujące na swój period i dojrzałość) nie odczuwała jeszcze wcale w tym wieku żadnych potrzeb płciowych.

To u portjera — to było przecież dopiero małe preludjum. Portjer właściwie przyjmował dziewczynę warunkowo: czy zostanie, to powie jej po paru dniach majster.

Na zobaczenie się z majstrem dziewczyna czekała czasami w portjerni przez wiele godzin. Czasem — zależnie od różnych okoliczności — majster nie mógł „rozstrzygnąć” jej sprawy przed końcem pracy. Zresztą zależało to w ogromnym stopniu od samopoczucia fizycznego i erotycznego pana majstra w danym dniu i od stopnia jego nasycenia, — od stanu nerwów, a wreszcie — od stopnia urody i ponętności kandydatki do pracy. Zazwyczaj też majster znajdował prędko chwilę, żeby (po telefonie od Zielaka, że nań czekają) — wlecieć do portjerni: „obejrzeć towar”.

Nigdy się jednak przy tych odwiedzinach przed żadną dziewczyną w portjerni nie zdradzał ze swych zamiarów.

Zwłaszcza — jeżeli w tym czasie mogło się znajdować w pobliżu paru robotników. Wpadał zawsze, z reguły, z miną bardzo surową, bardzo wyniosłą: nasróżone brwi, ostre spojrzenie. Ale też wzrok miał bystry: sekundy starczyło, żeby obejrzeć i dać pierwszą decyzję. W poszczególnych, szczególnie „pilnych” wypadkach decyzja taka brzmiała: „Masz zaczekać: dziś jeszcze cię potrzebuję do pracy.” Zwykle zaś polecał przyjść nazajutrz. Prawie nigdy już nie odrzucił dziewczyny: tak polegał na badaniach Zielaka, czy też pokrywał się z jego gustem; selekcja była dość dokładna. W każdym razie, tego czy następnego dnia miała być dziewczyna przyjęta, warunek był ten sam. Albo w portjerni — to już po godzinach pracy — po wypuszczeniu absolutnie „każdej żywej duszy”, jak mawiali, — albo jeżeli pilno mu było tego dnia podczas pracy, to u niego w kantorku.

Zasadniczo majster Zielnik, jako człowiek rozsądny, rozważny, wszystko świetnie obliczający, nie lubił robić u siebie tych spraw w kantorku i nie bował rad, gdy go tak pilnie „przychwyciło” podczas godzin pracy: miał wiele do-

świadczenia z dziewczętami — „pierwiastkami” i wiedział, że zdarzały się między nimi „trudne”: albo krzyczeć albo i bronić się mogły. Wolał nie ryzykować przy świadkach. Gdy już jednak tak się zdarzało „na pilno” i „w ryzyku”, to bował naprawdę straszny: nie mogło być dźwięku „na opór.” Wpuszczał dziewczynę do kantorku, zamykał od wewnątrz drzwi i mówił całkiem stereotypowo:

„U mnie, nie wiem czy słyszałaś, niema dla dziewcząt pracy bez tego” i nie czekając wcale na skutek tych słów, załatwiał szybko swoją sprawę: byle na czem, na podłodze, na materjale, jeżeli się zdarzył w kantorku. Często przytem musiał usta dziewczynie zacisnąć, albo potem dobrze szturchnąć dla karności.

Portjer — psycholog ostrzegał go zawsze przed tą pośpieszną i niekonspiracyjną metodą „angażowania” w kantorku „do pracy”, zwłaszcza jeżeli wyczuwał „trudny” wypadek: radził „przesilić” się i odłożyć. „To ci nawet dobrze zrobi, bo i tak w latach jesteś, Wojtek, do czterdziestki nie masz daleko, a przecież często sobie użyjesz”...

To też zazwyczaj sceny te odgrywały się w portjerni. Ale też bywały to sceny

bardzo urozmaicone i bardzo — dla dziewcząt — dramatyczne. Tylko, że dzielny majster Zielnik taki znów miał temperament, że jemu każdy dramat jeszcze więcej wigoru dodawał. I też tylko jeden taki wypadek notowali w swej sekretnej kronice „służbowego“ używania, że dziewczyna stawiała dziki opór: gryzła, rwała, drapała, krzyczała tak strasznie, że majster musiał ją zwolnić: wprost wypuścić z rąk, bał się. Ale wtedy (było to już późno wieczorem) — wypadł zaraz za nią na ulicę: rozjuszony, straszny, wściekły tak, że mógłby ją za tę „niekarność“ zamordować: dopadł jej, uchwycił ją za warkocz i włókł przez pustą ulicę do posterunkowego, ledwo żywą, drżącą, ogłupiałą. Dowłókł: wylegitymował się posterunkowemu: może włóżył mu tam coś do kieszeni i choć dziewczyna, szlochając, przedstawiała już policjantowi swoją krzywdę, wcale nie speszył się i upewnił policjanta, że dziewczka-bezwstydnica; zarażona; po dniu napaściwała ludzi wychodzących z fabryki, ciągnąc do siebie: nierejestrowana prostytutka napewno, bo jeszcze taka butna; pewno nie bita; a zarazę roznosi!.... Przywłókł ją tu, żeby pan władza odesłał ją

na jaką komisję: przecie jako majster nie dopuści takiego zgorszenia pod fabryką. Nic nie pomagały łzy i prośby dziewczyny, zaklęcia na rodziców, na swą niewinność. Policjant wprawdzie wyglądał dobrodusznie, ale jak miał jej dać wiarę? Dziewce, kiedy pan majster z wiadomej fabryki, z dobrego stanowiska tak świadczy?!.... Trzymając dziewczynę za rękę, zagwizdał, a tymczasem uspakajał ją: „No, nie płacz! Miałaś to z nim co, że taki zły na ciebie?! Nie płacz; wielkie rzeczy! Jeżeli nieprawda i jesteś zdrowa, to cię męczyć po szpitalach nie będą; a że zapiszą, to i takby cię złapali!“...

Tymczasem majster szybko odszedł, nie chcąc przewlekać sprawy ani do policji w sprawie tej stawać: bał się widocznie spotkania rodziców małej z portjerem i takich różnych okoliczności.

Wtedy mała runęła na kolana przed policjantem i obie ręce mu całowała, przysięgając na wszystko — na duszę, na Boga, że to jej się stała taka straszna krzywda; żeby ją puścił do domu; że jutro z rodzicami tu do niego przyjdzie i oni przecież, rodzice — fałszywie nie potwierdzą... Zanosila się tak od płaczu i tak jęknęła, że policjant pochylił się,

podniósł ją i dopiero świadomie zajrzał jej w oczy. Napuchnięte od płaczu, przeżalone, dziecinne, biedne te oczy targnęły mu wewnątrz. „No to idź“ powiedział, odmachując ręką policjanta, który nadzedeł na gwizdek — „może i nie kłamiesz!

Na darmo tylko ot fatygowałem kolegę...“

Nigdy się nie dowiedział majster Zielnik, że ta dziewczyna umknęła katowni. Ale długo wspominał z Zielakiem tę juchę, tę „cholerną hrabinę“, przez którą go pół - dnia głowa bolała.

Częste, powszechne wprost zjawisko oporu miawało zapewne różne postacie, ale przeważnie dziewczęta wobec dwóch tegich mężczyzn, gdzie jeden drugiemu sekundował, czuły tego oporu zupełną beznadziejność. Łzy zaś ich i jęki niesłychanie podniecały mężczyzn — i tego, który był aktywny i świadka. Świadek zresztą — nierzadko tuż zanosił przed władzę swą prośbę, ażeby mógł też po nim dostąpić. Zielnik jednak odrzucał to kategorycznie i bez wyjątku: argumentował zaś odmowę wprost imponująco: „Co ty sobie myślisz, że będziemy obaj tu młodą panienkę tak niszczyć! To się po mnie nie okaże! Ona u mnie dobrze bę-

dzie miała... A ty się jej masz czas jeszcze zasłużyć...“ i dla pewności, wychodząc, zawsze zabierał ze sobą dziewczynę. Jeżeli bywał bardzo zadowolony z nowej znajomości, to nawet czasem dawał takiej na tramwaj albo na parę cukierków. — Majster Zielnik bardzo sobie chwalił to wszystko i mawiał wśród bliskich, że jak dwa — trzy razy w tygodniu nie ma takiej okazji, to zaczyna mu coś najwyraźniej w zdrowiu dolegać: a jak dobrze się układa, no to apetyt, i dryg do pracy ma pierwszorzędny.

Taka była „organizacja pracy“ w fabryce w stosunku do dziewcząt.

Odmiennie postępował majster z kobietami, mężatkami. Tu bywał ostrożniejszy, bo przecież w grę wchodzić mógł mąż. Pozatem dorosła kobieta więcej miała rozumu, mogła szkodzić. Jednak kryzys i słabe zorganizowanie załogi fabrycznej stawały walnie do pomocy Zielnikowi. Oczywiście, chodzić mu mogło zawsze tylko o młode, albo wyjątkowo urodziwe mężatki. Przechodząc koło starszych albo brzydkich, niezgrabnych splewał tylko, a gdy już musiał takiej coś w warsztacie naprawiać, to wymyślał głośno: „Wredna baba, że tylko żygać!...“

Jędzą tylko do miotły“... Szczególną zaś pasję budził w nim widok kobiet ciężarnych, zwłaszcza starszych. Wprost wybuchnął pasją: „Też durnia znalazła, parszywego widać kozła, że jej brzuch robił! Tfu, paskudztwo takie!“. Czasem robotnica, strasznie zawstydzona, poprawiając fartuch, w ponsach na umęczonej twarzy, próbowała go opamiętać:

„Jakże to można, panie majstrze! Przecie z męża to, ślubne, pan wie!“

Nie było słów, któreby bardziej majstra mogły rozłościć. Potraçało to snąć go o jakiś uraz psychiczny. „Ślu-u-bne“... wykrzywił się nad przerażoną — „to myślisz, że smaczniejsze, jak ślubne! Chyba ci mordę zawiązał, jak do ślubu poszedł!! Mnie ślubnego-baba windą do siebie nie wwiezie, jak mi już obrzydła! Dla wiary i tej państwowości, to mogę księdzu do mszy wysłużyć albo datek na budowę kościołka, ale to co mam z ciała mego, to wara! to moja własna rzecz!“ — Długo pamiętał potem takiej robotnicy rozmowę...

Natomiast koło upatrzonej, apetycznej mężatki umiał chodzić wcale precyzyjnie. Ale dłużej tygodnia nie zgadzał się nigdy zaczekać. Zaczynał zawsze od róż-

nych udogodnień: dobierał lepszy materiał, lepiej narychtowywał warsztat, ciągle zaglądał jak praca idzie. Robotnice po tem poznawały już co się święci i przyglądały się milcząco i ponuro takiej delikatnej, zwykle prędko skutkującej ofenzywie.

Najdłużej trwała historia z Genką Kurzajówną, z którą potem ożenił się Władek Malczyk, robotnik tej samej fabryki. Żyła już wtedy z Malczykiem, tylko na wesele i ślub musieli uzbierać: nie łatwo to księdza zadowolić, a i zabawić się potem należy! Wszyscy jednak w fabryce wiedzieli, że to już jest małżeństwo i tylko tyle, że oficjalne nazwisko miała jeszcze własne, panięskie: no i nie mieszkali jeszcze razem, bo i on i ona stali u ludzi kątem. Genka była na podziw urodziwa: jasna blondynka o włosach jak kopa cieniutkiej złocistej przedzy, a cerę miała jakby brunetki: śniadą i ogorzałą, w lecie i w zimie. Do tego jeszcze miała uroczy uśmiech i oczy prawie czarne, a strasznie bystre: oczy te widziały jakby poprzez całą fabrykę, daleko, daleko, w świat. Tylko biedna była bardzo, bardzo źle ubrana, cała zcerowana i złatana. Zarabiała w tygodniu 6—8 złotych, więc na

miesiąc wypadło to jej poniżej czterdziestu złotych: jak było wyżyć? A jednak nic od nikogo nie przyjmowała, nikt jej nic nie kupował. Niejeden do niej się przed Malczykiem zabierał, ale twarda była, surowa, odpaliła każdego.

„Ty! „mówiła“ ty sobie pożyczysz i pójdziesz dalej, co? A ja zostanę z dzieckiem przy swoich zarobkach... Jeszcze na to mam czas!“ Młoda była, nie miała dużo nad lat dwadzieścia: nie lgnęła do chłopów: miała czas i wybór mogła mieć.

Tylko Malczyk, jak nastał do pracy, tak prędko ją sobie pozyskał. Był cichy, nie śmiał się, nie żartował, w przejściu za nogi nie łapał: ale swoje sposoby, swoje sekrety musiał mieć, a może tak mu się nad wyraz udało. Widziano ich tylko parę razy pod fabryką na rozmowie i już zaraz potem można było ich zobaczyć na ulicy pod rękę; niebawem schodzili się rano przed pracą; czekali na się a rozstając się, całowali długo, mocno i serdecznie.

Z tego jak patrzyli na siebie, każdy prędko poznał, że już ze sobą żyją. Wiedział o tem i majster. Długo przemyślał, jak się do niej zabrać. Inna była, onieśmiała go. Próbował grzecznością

usługą, względami, tak i tak. Próbował naliczyć przy wypłacie więcej niż należało podług stawki. Nie działało nic. Minął przeznaczony na zabiegi tydzień, minęło dwa, trzy: nic. Sprawa nie posuwała się nawet o krok. Genka bardzo grzecznie przyjmowała wszystkie starania, ale nie pozwalała na najniewinniejszą rzecz: jeżeli np. niby niechący dotknął jej piersi, brała mocno jego rękę, podkreślając tem, że wie o co mu chodzi i szorstko ją odsuwała; nie miał jeszcze z żadną tyle zachodu i mitręgi.

A podobała mu się tak, że aż pościł, nie chciał żadnej i jak zniemacka Genkę dojrzał, to czasem aż zatykało go z gwałtownej chęci, żeby podstępem lub przemocą ją wziąć. Ale przemocą — to się bał Malczyka. Malczyk był młody, mocny chłop, przytem strzelec: w mieście znali go, mógł się bronić; bał się Malczyka. Ponury przytem był Malczyk i przez to podwójnie bał się go majster Zielnik, bo z takim nigdy niewiadomo, co robi. Odrzucił więc przemoc. Ale, że zwykłym targiem — za grzeczności, za lepszą pracę — nic nie mógł uzyskać, obrał drogę podstępu.

Tu wyzyskać mógł tarcia, jakie się już

zarysowały wśród załogi robotniczej, doniedawna zorganizowanej „jak jeden mąż“, w związku prorządowym. Teraz ten i ów już się powymykali do związków opozycji, do „jednolitego“, jak mówili, „lewego, robotniczego frontu.“ Chwiał się już i Malczyk a raczej nie chwiał, tylko sobie ponuro i skrupulatnie wszystko ważył w głowie.

W tym czasie władze bezpieczeństwa aresztowały jednego z robotników (Jacakowskiego) niewiadomo za co, ale chyba też za takie coś, jak ten front. Majster Zielnik czuł jakoś wężem, że w tej sprawie ręce maczał delegat fabryczny, Gałkowski, choć nic nikomu o tem nie było wiadomo i nikt mu nawet takiego przypuszczenia nie poddał. Ale w pogoni za Genką wyostrzyły się majstrowi wszystkie władze jego intelektu i te jakieś niejasne powiązania w rozgrywkach między — związkowych, którymi się dotychczas nic a nic nie interesował: chwytając zaczął jakby macał je poprzez mgłę, ale już namacywał. Tu zaświtała mu zba wienna myśl. Pozyskać Genkę przez jej miłość dla Malczyka. Zastraszy ją: że Malczykowi już to samo grozi, co Jackowskiego spotkało. Nie mógł tego zorga-

nizować sam, a że z Gałkowskim miał sztamę (czasem sobie razem zabawić się chodzili) postanowił prosić o pomoc Gałkowskiego. Od tej chwili sprawa ruszyła piorunem. Wprawdzie Gałkowski oświadczył, że Malczyka nikt nie tknie, bo jako mały jeszcze chłopiec był w Orłętach Lwowa, z Orłętami w Powstaniu Śląskiem i teraz jest dobrym strzelcem: „Nie można więc obliczać“, mówił przeczornie, „żebyś Genkę mógł mieć przez jakieś coś z Malczykiem, Malczyk mocny jest i nikt mu tu nic nie robi“.

Majster tłumaczył, że przecież, nic takiego nie myślał, żeby szkodzić Malczykowi: a już zwłaszcza z tem by nie poszedł do delegata!! — tylko chciałby Genkę na ten temat postraszyć. Liczy tak na babskie kochanie i przy tem kochaniu — na babską, choć u najmocniejszej dziewczyny, strachliwość.

Prosi też tylko, niech Gałkowski z Genką o Malczyku pomówi, żeby męża strzegła; tylko niech zwiąże ją słowem, żeby się przed Malczykiem nie zdradziła: przecie wiedziała, że Gałkowski i Malczyk między sobą byli jakoś niewyraźnie. Gdy zaś już Gałkowski rozmówi się z nią i da mu o tem znać, to już on sobie

dalej poradzi, bo już w takiej życiowej potrzebie bywał, żeby strachem o kochanka babę dostawać.

Gałkowski nie bardzo wierzył w powodzenie tego projektu, ale Malczyka nie lubił i chętnie by mu rogi przykleił; z Zielnikiem zaś trzymał sztamę i czasem nawet po forszę do niego chodził, jak miał potrzeby.

Zawinęli się obaj poprostu błyskawicznie. Majster zresztą prosił przyjaciela, że już naprawdę dłużej nie może wytrzymać mitręgi z tą dziewczyną; nie jada i nie sypia, a nawet gorzej, bo sypia z nią, ale tylko w wyobraźni: raz nawet zaczął gadać do niej we śnie, przekonywać, aż mu żona, ta wredna czarownica, awantury robić poczęła. Gałkowski zapytał rzeczowo, jak daleko majster jest z Genką: czy wprost mówił już jej czego chce; czy próbował? Zielnik z wielkim wstydem musiał przyznać, że nigdzie jeszcze z nią nie doszedł, że nawet żadnego wyraźnego słowa jej nie powiedział, tylko tak koło niej chodził, jak koło jakiej damy: we wszystkim jej dogadzał.

Gałkowski poszedł wywołać do siebie Genkę (miał w fabryce taką małą komórkę delegacką), a majster przykucnął

u siebie w kantorku, pełen oczekiwania. Zwymyślał też od ostatnich starszego robotnika z oddziału, który zapukał i prosił go na salę, bo coś w świetle przy jednej maszynie się zepsuło. Zerwał się jak tur od stołu, rycząc: „Nie pójdę, żebyś wiedział, psia twoja mać! Żeby mię drał jak cholera, a te ścierwa mi tu z lampami!“ Robotnik uciekł jak zmyty.

Tymczasem Gałkowski odbył krótką, lecz jakże płodną w skutkach rozmowę. Gdy Genka usiadła przy biurku, dostrzegła na jego tłustej, żółtawej twarzy mieszaną wyraz smutku i współczucia.

„O co idzie wam? zapytała. „O waszą prywatną rzecz“ odparł z wielką serdecznością.

Doznała ukłucia w sercu. „Redukcja?!!!“ —

Zrobił pauzę, wygrywając jej przerażenie. Ta mocna, dumna dziewczyna — dziś była w złej nerwowej formie.

„Nie“, powiedział łagodnie „nie to — i wam nic nie grozi, to jest wam osobiście, Geniu: ale, o ile was rozumiem“... Tu zajrzał jej w oczy skromnie i z szacunkiem — „więcej was obchodzą niż osobiste, Malczyka sprawy“... Genka milczała, uczuła nagłą słabość: pot kroplami zbie-

rał się jej przy brwiach, koło nozdrzy: w skroniach pulsowało: oj, jakże to wszystko inaczej jest teraz, kiedy już zaszła!...

Czuła, że nie ma dziś nawet połowy własnej, normalnej woli, energii i odwagi. „Więc to Malczyk ma być do redukcji?” — szepnęła, przecierając ręką twarz. Gałkowski widział bladość, i słabość i poty.

„Ależ nie to: tylko gorzej.... Wiecie, dał się zamieszać do, no wiecie, do wywrotowej roboty!.... Tak wypadkiem — słyszałem rozmowę w kantorze: wnioskuje, że już go śledzą“....

Genka, z pochyloną głową, usiłowała zebrać całą przytomność umysłu. — Tak. Teraz, kiedy już zaszła, kiedy chcieli niedługo się pobrać, teraz właśnie mogą jej go wziąć. Wstała.

„To wam dziękuję za ostrzeżenie. Zaraz powiem o tem Malczykowi“.

Gałkowski chwycił ją za rękę.

„Nie! zawołał z pośpiechem. „Tego mi zrobić nie możecie! Tylko ja sam byłem wypadkiem, przy tej rozmowie dyrektora przez telefon! — Tego nie można zdradzić, bo przecież tak wysypać nie trudno delegata, i wszystkie nasze sprawy ogó-

łu!... Tego mi za moje współczucie i zaufanie zrobić nie możecie! Nie powinniście!“ dodał rzewnie. Genka stała. „Więc jakże? Na co nam tedy to wasze ostrzeżenie?“

Wytłomaczył jej, że ona może dużo zrobić, gdy się zaopiekuje teraz już naprawdę Malczykiem; nie odstąpi go wcale w wolnych godzinach no i prędzej już zawinie się z tem weselem i do wspólnej chałupy. Tam już go sobie upilnuje...

Zaznaczył przy tem, że z rozmowy wnioskuje, jakby to był tylko taki wywiad, pierwszy sygnał: trzeba się mu przyczaić... Westchnął przytem i dodał: „Zresztą wiecie, Malczyk mnie nie lubi! Nie wprowadzajcie mojej osoby w tę rozgrywkę. Ja dla was to zrobiłem.... A jak tam u was z tem weselem? Jeżeli brak wam jeszcze pieniędzy, to zawsze mogę pomóc, jestem wam życzliwy...“

Serdecznie, gorąco dziękowała mu Genka. Poszła do warsztatu, pełna troski i najgorszych przeczuć.

Gałkowski natychmiast powtórzył Zielnikowi całą rozmowę w szczegółach. Radził mu teraz kuć żelazo póki gorące: dziewczyna wyraźnie wystraszyła się o swego chłopca. Ale żądał od majstra, że-

by nie próbował z nią gadać ani dziś ani jutro, bo się połapie, że są w zмовie i jeszcze obydwum ten Malczyk mordy rozkwasi.

Zielnik kręcił się, jak w ukropie.

„To jeszcze mam czekać! I na co?! A jak oni zabiorą się i wcale z miasta wyjadą?”

Gałkowski był nieugięty. „Poczekaj, Ja myślę, że będzie sama szukała pomocy: przyjdzie tu do mnie o pożyczkę, a ja ją do ciebie odeślę... Musisz czekać! Tymczasem sobie weź inną. Mało to masz na oddziale?” Zielnik siedział ponury.

„Takiej niema” — odparł tylko. „Nie to, żeby była znów taka już piękna, tylko tak mnie rozochociła tym oporem, tem koło niej uwijaniem!” — Tymczasem zdobył ją już następnego dnia. Wiele okoliczności na to się złożyło.

Genka zagabnęła wieczorem swego chłopca, co sądzi o Gałkowskim i za co naprawdę tak się na niego boczy. Gałkowski jest dla niej życzliwy, nawet kiedyś proponował jej pomoc, pożyczkę.

Malczyk przestraszył się i musiała go długo uspokajać, że między nią a Gałkowskim nigdy nic takiego nie było: po prostu dobry człowiek, no i przecież de-

legat. Malczyk długo, długo milczał, a potem powiedział jakby z wielkim trudem:

„Genka, wielkie to są wszystko bolączki i nie mogę dziś jeszcze nic mówić. Ale to ci powiem, że w swoim sercu, to już go mam za psa, za ostatnią kanalję i...” aż zachłysnął się, tak mu ciężko szły te słowa.

„I to ci powiem, że jeśli mnie kochasz, — a wiem, że kochasz, miła, złotko”, pogłaskał ją szorstką ręką po jasnych włosach — „to nigdy i nic, żadnej pomocy od tego drania, ścierwa nie przyjmiesz!... Bo wiedz, że ja, jak tylko będzie można, sam sznurek mu na szyi sobaczej zacisnę — ot masz!”...

Nie pytała go więcej, tylko utuliła w ramionach i długo jeszcze siedzieli na schodach mówiąc o swoich sprawach.

Malczyk chciał też się śpieszyć ze ślubem: wiedział już o niej, cieszył się: choć z czego? Życie takie ciężkie! Ale zawsze to ich, to wspólne ich będzie dziecko, będą je hodować...

Genka przytulona twarzą do jego ramienia, napłakała mu pocichu dużą, ciemną plamę łez na kurtce. I z przerażeniem myślała wciąż o tem, jak

przez tę ciężę djabli biorą jej twardość, jej teżyznę, jej wytrzymałość!...

A następnego dnia, po namyśle, sama zgłosiła się do kantorku majstra Zielnika. Zielnik osłupiał, spieszył się, prosił ją żeby siadła: ręce mu drżały.

„Czem mogę służyć?“

Genka, której Malczyk zabronił wdać się z Gałkowskim, przysłała prosić majstra o pożyczkę.

Zielnik aż zaniósł się wewnątrz od serdecznego, bezgłośnego śmiechu: przecie Gałkowski dopiero chciał to organizować!! Sprytny mózg jego podpowiadał mu już sposoby najskuteczniejszego dobrnięcia teraz do pożądanego celu. Dał jej mówić.

„Panie majstrze“, powiedziała jękając się, „to taka prośba, do której pan wcale nie przygotowany... Ale pan był zawsze ze mną taki“ ... zawahała się i dodała kompromisowo: „uprzejmy, — to panu powiem: chcemy się z Malczykiem pobrać: nawet już — jego jestem; brakuje nam trochę, niedużo pieniędzy... Czy pan majster zaufałby mnie pięćdziesiąt złotych? Odrobę akuratnie, a jak pójdę już do niego, to mi już mój zarobek nie będzie taki do życia konieczny... Każdego pierw-

szego przyniosę panu tu dziesięć złotych do kantorku“...

Wiedziała przecie o nim wszystko, o tym Zielniku i bardzo się dotąd pilnowała, żeby go jakoś do siebie nie ośmielić. Ale teraz, w ciężkiej trosce i potrzebie, skoro odpadła pomoc Gałkowskiego, upatrzyła sobie właśnie w nim jedyne źródło pomocy, sposób dobrnięcia do kochanego na stałe, — sposób obrony i upilnowania Malczyka.

Zielnik tkliwie i ojcowsko położył (gorącą) rękę na jej ręce, opartej na stole. Tymczasem miał już cały plan i wewnątrz zupełnie się uspokoił. Nie mignęło mu nawet w myśli, żeby tak, w pośpiechu lub przemocą, — gdzieżby tam! Będzie to miał lepiej!

„Panienko“, powiedział czule— „wszystko wiem. Chętnie z pomocą przyjdę. Ale się boję, że naprzód — to całkiem inna pomoc będzie panience potrzebna!... Bo są złe rzeczy...“ — Zakreśliło się jej w głowie — znów ta słabość! — O czem on myśli? że zaszła? skądby wiedział? nic nie widać jeszcze! Czy też to, co mówił Gałkowski? „A więc i pan“... zaczęła, ale przerwał jej:

„Nic tu nie można teraz mówić; bo

wie pani, tu ściany mają uszy! Poproszę tu panią, jak ludzie się rozejdą. To tylko mogę powiedzieć, że jest poważna rzecz”.

Genka pół-przytomnie dopracowała do końca dnia.

Majster podsyczał umiejętnie jej zderowanie i niepokój. Podeszedł raz, rozplątał zasupłane nici i szepnął: „Rozumiem wszystko, rozumiem. Proszę się trzymać!“...

Nie śpieszył się też, gdy weszła do kantorku po skończonym dniu pracy i odczekaniu, aż wszyscy wyszli. Malczyk wprawdzie czekał na nią, jak zawsze, ale powiedziała mu, że musi trochę zostać, by przygotować sobie na jutro robotę; trudno jej teraz wstawać wcześniej. Kiedy tak kłamała mu i wyprowadzała go skinieniem ręki, czuła wewnątrz jakby grozę, coś tak ścinało ją we środku jakby mroźnym dreszczem. Nie podejrzewała jednak o nic Zielnika: wszystkie jego zaloty, pamięć o tych wszystkich uprzykrzeniach ustąpiła przed nawałem gryzącego niepokoju i troski o Malczyka.

Usiadła, skubiąc nerwowo chustkę.

„Słucham, panie majstrze. To o Malczyku“...

Majster, spocony i czerwony z podnie-

cenia (od godzin obmyślał sobie cały plan tej strategii), opowiedział jej, jak zdobył wiadomość, że Malczyk będzie tej nocy zamknięty („...Wdał się poza panią z wywrotowcami“), że zdradził mu to taki jego kolega, dawniej z wojska, co teraz pracuje na policji: on zaś, Zielnik, przez wielką życzliwość dla Genki, uprosił tego kolegę, by się wstrzymał do samej nocy: zobaczy się z nim późnym wieczorem, no i... chciałby dla niej tego Malczyka wykupić... Więc tedy widzi ona, że większej, niż pożyczka, potrzebuje od niego usługi!...

Genka dyszała ciężko. To była prawda! Napewno tak! Nie mogła wątpić. Gałkowski przecież — przypadkiem — tak samo słyszał. Mignęła jej w mózgu, ostra jak igła, bolesna, niejasna myśl: spółka?! Odrzuciła ją jako dziecinną, głupią. Majster i delegat, też coś!! Malczyk ma do Gałkowskiego uprzedzenie... Nie wolno zaniedbać żadnej deski ratunku...

Majster czekał parę sekund: oczekiwał całe to jej myślenie, bębniąc dyskretnie palcami po stole... Przecie ważyło się właśnie, czy mu uwierzy? czy nie odkryje tu zmowy, pułapki? Musiał być

cierpliwy, żeby się nie zdradzić żadnym ruchem.

Nagle Genka wyciągnęła dłoń i powiedziała cicho, załamującym się głosem:

„Niech pan pomoże, poratuje, panie Zielnik“.

Wtedy majster wyprężył się, odął wargi i powiedział wymijająco:

„To przecie tylko od pani zależy“...

Wstała. „Jakto?“ — „No, przecie pani musi wiedzieć, że ja się w pani kocham i tam dalej. Chodzę przecie koło pani miesiąc z okładem jak koło jakiej hrabiny!“

Stała nieruchomo: małe czarne plamki, jak śrucinki, latały jej, wirowały w oczach. W śmieszny sposób przypomniała sobie: „nie miałam dziś nic w ustach“... A powiedziała tylko:

„Więc, proszę pana. Taka pułapka... Albo tak, albo tak“...

Patrzyła spokojnie, jak majster przekręcił klucz w drzwiach. Nie bała się go. Ale nie miała przecie też wyjścia. Powiedziała gorzko:

„Tylko niech już pan da pokój o miłości! Przecie wiem jak pan to sobie urządza z każdą“...

Wtedy Zielnik, który za długo napra-

cował się na to, żeby ją potem mieć taką przybitą, zgaszoną, spłowiłą, bez resztki życia, — użył zręcznego fortelu, by ją wprowadzić z równowagi, podniecić.

„Ja nie używam przemocy“, powiedział drwiąco i odkręcił klucz; „to tylko z pani najdobrowolniejszej zgody i miłej chęci! Jak pani nie chce, — nie nalegam: proszę!“ wskazał ręką na drzwi. „Ale też proszę nie mieć pretensji, bym się dziś dla gagatka trudził, od żandarmów go wypraszać!“

Nasrożył się przytem marsowo, a widząc płomienie gniewu na twarzy Genki, ruch jej piersi od wzmożonego oddechu, zamknął znów drzwi ze słowami:

„Widzę, że decyduje się pani... Nie wielka to rzecz!“

Wziął ją, pełną najistotniejszego męczeństwa: drżącą z wściekłości, z paznokciami wbitemi we własne dłonie: wargami, przyciętymi przez zęby... I kiedy brał ją, uczuła nagle w sobie dawno spodziewany, wyczekiwany, wyglądany, nowy tajemny ruch: ruch dziecka... Wtedy tylko, na krótką chwilę, po twarzy jej spływały, jak falą, gorące łzy...

Zielnik bardzo zadowolony, pomógł jej troskliwie wstać i ogarnąć się. Nie pomy-

lił się: opłacało się koło niej chodzić. Odczuwał nawet do niej jakby coś w rodzaju wdzięczności, ale zaraz się połapał, że to przecie tylko ona ma być jemu — dziś i nadal — za wszystko wdzięczna: za życzliwość w pracy; za wyróżnienie w pracy i teraz; za pomoc (urojoną) w sprawie Malczyka. Zatrzymał więc ją jeszcze przez chwilę: usadził na krześle.

„Zmęczyłaś się, co? ale nie tak źle było, powiedz?!“ Genka milczała: to wszystko nie dałoby się ująć w żadne słowa. Majster mówił dalej:

„No, nie pierwszy jestem u ciebie, więc już rozumiesz się na takich rzeczach. Malczykowi nie radzę ci się zwierzać, bo na nic żadne awantury: wylałbym jego i ciebie... A ciebie bym żałował!... On pójdzie na bandytyzm, bo to mu z oczu patrzy, ale ciebie na ulicę, dla każdego zawszańca, szkoda: fajna z ciebie dziewczyna! Otóż tak ci powiem. Dziś wieczór jego sprawę, jak obiecałem, załatwię. Wybronię go na mur. To mój dobry sitwes! A potem, to ty już upilnujesz, żeby Malczyk z takim elementem nie parał się. Teraz nasze sprawy. Przychodź tu jutro do pracy, tak samo; opowiem ci co mi tam o Malczyku powiedzą, no i zabawimy się

jeszcze raz... Bo tak, toby ci się za tanio upiekło!“

Genka odpowiedziała tylko ruchem warg: „Dobrze“.

Ale nie przyszła nazajutrz ani do kantorku po pracy, ani wogóle do pracy. Do nocy chodziła sama po ulicach, łykając gorzkie, palące łzy. W nocy poszła na stację Malczyka, obudziła go, prosiła, żeby wyszedł do niej na ulicę. Wybiegł przerażony.

„Co ci jest, może zerwałaś się czem?!“

Opowiedziała mu zaraz wszystko. — Chłonał to w siebie, zaciskając jej dłonie w rękach: patrzył na kochaną, drogą twarz, napiętnowaną męką wielkiego upokorzenia.

Długo, długo milczał. Wpatrywała się w niego przez łzy i ból, — niepewna. On zaś ogarnął ją poprostu ramieniem i począł całować, zacałowywać po umęczonej, mokrej od łez twarzy.

„To ty!“ powiedział „ty, moja żona, matka naszego synka!“

Zapłakała wtedy żałośnie, a on się wtem roześmiał serdecznym śmiechem.

„Ty głuptasku!! Chcę przecież tylko powiedzieć, że taki zuch zawsze byłaś! w tej fabryce i w całym życiu: taka mą-

dra, harda, twarda!... I naprawdę — nawet taka jak ty — potraficie kobiety takie głupstwa przez miłość do chłopca robić! Ani trochę cię mniej nie będę kochał przez tego tam wściekłego psa! Co mi tam! Przyjdzie czas się z nim porachować!... Ty rzucisz tę pracę tam. Jeszcze biedniej nam będzie: trudno... Nabrali cię draby, ty biedactwo!! Ani nic o mnie nie słyszeli; ani nikt mi nic nie chciał robić; ani ja z żadnym elementem wywrotowym nic nie mam... O, to najprzykrzejsze, że cię, złotko, moja miła, tak na to wszystko tym strachem nabrali!“....

Nazajutrz w fabryce Malczyk wyciekał przy wejściu na Zielnika. Ukłonił się mu grzecznie i podszedł. Zielnik zachnął się w stronę.

„Nie bój się pan“ — powiedział Malczyk — „przychodzę tylko zapytać, czy był pan łaskaw tę moją sprawę załatwić?!“ Wparli w siebie oczy: Zielnik — zbieleiał od strachu, Malczyk siwe, stalowe. Długo wpatrywali się w siebie. Potem Malczyk niedostrzegalnie ścisnął majstra wyżej kiści ręki, aż ten poczuł w ustach jakby smak miedzi. Malczyk powiedział krótko: „A za opiekę nad moją żoną, to już panu kiedyś, — ale to nie-

prędko, może po latach — odwdzięczę się! Mam czas.“ I odszedł.

Zielnik omijał od tego czasu Malczyka zdaleka. Bo też żadna kobieta nie kosztowała go tyle wzruszeń, jak ta Genka!

Inne — mógł mieć — za odwołanie redukcji, albo za groźbę redukcji; za zerwanie nici, albo — za naprawienie nici; za reperowanie warsztatu, albo za niereperowanie warsztatu!...

No i bez żadnych potem chryj, spokojnie: w zgodzie z dobrem trawieniem i dobrym obyczajem: bez zbytniego rozgłosu.

Bo majster Zielnik pozatem był dobrym familjantem: dzieci swe kształcił; żonie na różne jej przyjemności jak np. pielgrzymki, wota, nie szczędził datków; sam do różnych bractw, a jakże, do różnych przyzwoitych organizacyj także należał.

Wszystko więc było w porządku.

II

„ZASTĘPCA“ ROBOTNICZY

Roman Gałkowski czuł się w fabryce niejako dożywotnim delegatem, „zastępcą robotniczym“, jak mówiło się w bardziej uroczystych okolicznościach. Dużo przyczyn składało się — tak myślał — na to dożywocie delegackie. Ogół robotników, w większości kobiety — był bardzo spokojny, cierpliwy jak koń, jak wół (jak osioł, chciałby czasem powiedzieć Gałkowski), nie miał żadnych wymagań, mógł „czekać“... Pozatem — do tego czasu — na terenie fabryki nie było żadnych innych organizacji poza tą, której mężem zaufania był Gałkowski. Ta zaś mogła zawsze w dzisiejszych warunkach bić na głowę każdą „konkurencję“, gdyż była, choć radykalna, skrajna, lewa, ale... prorządowa. Przecie jeszcze niedawno, parę lat temu, na uroczystościach organizacyjnych siadywali i nawet występowali

premjerzy, czynni ministrowie... Popieranie było bardzo mocne. Wprawdzie w ostatnich czasach trochę się pod tym względem zmieniło, powstało sporo kwasów między górą organizacji a rządem; rząd to i owo zarzucał organizacji, organizacja — jeszcze więcej — rządowi; ale na prowincji, z władzami, jeszcze sobie wszystko dość morowo szło. Pierwszym dowodem tego było zagarnięcie tej fabryki. Niele dwie od samego jej powstania (cztery lata temu) cała załoga należała do tego związku. Poprostu majster lub kierownik przy przyjmowaniu robotników nadmieniał (delikatnie, żadnego przymusu nie było), że jeżeli względem jakiej zawodowej organizacji, to radzi (nie przymusza, nie, tylko zaleca, orjentuje) wybrać tę, a nie inną: więcej może pomóc w polepszaniu warunków pracy. Skutek był wspaniały, prawie odrazu pozapisywali się wszyscy. Na około czterystu ludzi w załodze opowiedziało się przeciw (i to nie jakoś demonstracyjnie, gdzieżby tam! pocichu) za ledwie kilku mężczyzn: poszli do klasowców, a może raczej — zostali, jak byli przedtem, u klasowców. Taki morowy skutek, a raczej poprostu taka „pomoc“ dyrekcji fabryki była mo-

żliwą tylko dlatego, że władze administracyjne w dalszym ciągu życzliwszem okiem patrzyły na ten związek, niż na każdy inny.

Była jeszcze inna, poufnej natury przyczyna, dla której Gałkowski czuł się tak „dożywotnio“ na tej delegaturze.

Gałkowski był młodym człowiekiem, nie miał jeszcze skończonych trzydziestu lat, ale w życiu przeszedł już dość dużo. Syn małorolnych, wyniszczonych gospodarzy, jako małe dziecko, dostał się z małej wsi do wielkiego miasta wraz z ojcem, który przywędrował tu za swym panem, ongi wielkim kresowym magnatem. Magnat, wyzuty doszczętnie z magnactwa, a nawet z dostatku przez rewolucję społeczną na Ukrainie, dożywał reszty swych lat na skromniutkiej stopie, zatruwając siebie i całe otoczenie gryzącym kwasem. Kwas był na codzień, na obiad i do łóżka; — dziedzic nie miał już żony i nigdy nie miał dzieci; stąd najsolidniejsze porcje kwasu spływały na służbę. Oczywiście Roman nigdy nie wychodził z kuchni, skoro tylko pan był w domu. Dwupokojowe, najskromniejsze mieszkanko na trzecim piętrze brudnej i odrapanej kamienicy śródmieścia, udostępniało się je-

go oczom i innym zmysłom tylko w tych rzadkich okresach, kiedy pan (na krótko zawsze) wychodził z domu, lub (co jeszcze rzadziej bywało) wyjeżdżał do krewnych na wieś. Były to rzadkie i krótkie chwile; zasadniczo egzystencja małego Romana zamykała się w granicach małej kuchenki. Jednak działanie kwasu promieniowało i tu, gdyż kwas dostawał się do Romana przez ojca „kamerdynera“ i Teklę — kucharkę, a jak siebie lubiła nazywać — „gospodynię“. Działanie kwasu ustawało czasem tylko na krótką chwilę, gdy do pana wstępował ktoś z dawnych, dziedzičkih jeszcze, znajomych; wtedy posyłało się po zakąski, wódkę, wiele wódki i po krótkim czasie ponurego jedzenia i picia następowały wybuchy wesołości. — Dziecinna egzystencja Romana i pod innym względem nie należała do wesołych, gdyż pan wraz ze służbą przeważnie niedojadali. Ostatecznie pan musiał się jako tako ubierać, miał pewne potrzeby własne, z których nie chciał rezygnować i na to szły te skromniutkie środki pieniężne, jakie udało mu się jeszcze wyratować z rozgromu. Jako tako też i jadł. Ale na żywienie służby nie starczało. Jeszcze Tekla, która

prócz kucharskich, spełniała dla pana i inne, też niezbędne czynności, dokarmiała się jakoś lepiej z pańskich resztek. Wiek pana, jak tylko Roman go pamiętał, był zawsze nieokreślony: czy miał czterdzieści, czy po pięćdziesiątce, nikt tego nie wiedział. Był jednak zawsze mężczyzną, jak się patrzy i swoich potrzeb pilnował. Tekla, przystara dla pana, bo już grubo po trzydziestce, była zawsze pod ręką; umiała nosić się czysto; była zdrowa; wszystko to były względy, dla których pan cenił Teklę. Ani Tekla, ani ojciec Romana nie brali żadnej pensji, jak tylko Roman siebie pamiętał — służyli „za życie“. Tylko, że Roman z ojcem tego „życia“ też za dużo nie mieli. Łączyła natomiast Romanowego ojca z dziedzicem jakaś miłość, czy przyjaźń, jakieś głupie wprost tego człowieka do pana uwielbienie. Nigdy nie doszedł Roman, czy pan zrobił kiedy co dobrego jego ojcu. Słychać było tylko zawsze pańskie kwasy, niezadowolenie, wyrzekanie. Ale trójka ta była ze sobą związana wspólną ucieczką z majątku, codzienną wspólną vegetacją i wreszcie swoistem powiązaniem, tajemnicę którego Roman nieprędko rozpoznał: pan i ojciec jego mieli wspólną

kobietę, tę właśnie Teklę i żyli z nią sobie na zmiany.

Zresztą, niedługo to wszystko w Polsce trwało. Przyjechali z kresów w r. 1918, Roman dobiegał wtedy dziesięciu lat. Mieszkali tak razem wszyscy do r. 1924. Pierwszy umarł pan. Niewiadomo dlaczego i co mu się stało, bo nigdy się nie leczył. Pewnego wieczora bardzo mocno zapił sobie z dalekim kuzynem, kuzyn w nocy wyszedł a pan jak siedział przy nim w fotelu, tak już z niego nie wstał. Ojciec Romana znalazł go nad ranem już zupełnie skostniałego. W jakie dwa miesiące po śmierci pana zdarzył się z ojcem wypadek: potracił go tramwaj, wprowadzie nie na śmierć, ale zabrali go z ulicy ze złamanymi kolanami do szpitala, ze szpitala zaś, po paru tygodniach — do ziemi. Roman wcześniej zresztą już z ojcem się rozłączył, bo jak tylko skończył czternaście lat, ojciec oddał go do ślusarza do terminu. Ślusarz miał większą izbę i potrzebował chłopca do różnej pomocy, więc Roman tam zamieszkał. Po śmierci ojca Roman nie zaszedł już nawet nigdy do mieszkania pana, które przecież przy Tekli pozostało (musiał więc pan wówczas o tem myśleć, skoro tak rozporzą-

dził); nie wiedział też, co się dalej z Teklą stać mogło. Tekla nigdy nie była dla niego dobra, ani życzliwa, złe miał przy niej życie; ale po śmierci ojca dziwnie jakoś spokorniała, przysłała nawet do niego do warsztatu oddać mu jakieś dobre spodnie po ojcu i wtedy słyszał, jak żaliła się majstrowi na swój los, że została sama; powiedziała tak: „dwóch ich sobie miałam, każdy inszy, ale każdy mi się jakoś nadał. No i tak teraz zostałam odrazu bez żadnego“. Roman miał już szesnasty rok; wiedział już dobrze, jak to jest w życiu z kobietami i oświadczenie to zamocowało już tylko przypuszczenia, jakie sobie uprzednio co do ojca poczynił. Zresztą, nic go to przecie nie mogło obchodzić.

Termin u ślusarza skończył się niespodziewanie. Warsztat pracował nikło, przeważnie robił naprawki różnego śmiecia, starych prymusów, marniejszych maszyn do szycia, innych różnych drobnych rzeczy. Niczego się przytem nauczyć nie było można, a zresztą majster nie udzielał wcale żadnej nauki. Chłopiec był mu potrzebny do podawania, podnoszenia, przytrzymywania obrabianego przedmiotu, albo znów do posyłania go gdzie było trzeba, no i wreszcie do domowych po-

trzeb i posług. Roman przez cały pierwszy rok nie zarabiał wcale nic, tyle że miał gdzie spać i miał wyżywienie, niewiele zresztą lepsze, niż u starego pana przy ojcu. Za to pracy, to znaczy — głupiego uwijania się, posyłek, harowań różnych miał po uszy tak, iż spać szedł bardzo późno z bólem we wszystkich kościach i z tym samym bólem zwykle się budził i wstawał. W drugim roku majstrowi wypadło już dawać mu co pewien czas choć parę groszy, tembardziej, że ojciec jeszcze żył, dowiadywał się, wypytywał. Nudziło to majstra i tłumił w sobie do czasu zamiar wyrzucenia Romana z terminu z tem, żeby upatrzeć sobie znów mniejszego chłopaczka do posług. O pretekst do zerwania terminu i umowy (zresztą ustnej), nie byłoby trudno nawet za życia ojca. Przecie można było zawsze wykazać się jakim świadkiem, że chłopak coś zwędził lub też chciał zwędzić. Ale tu przyszła majstrowi z pomocą śmierć ojca. Majster wyczekał dokładnie miesiąc od tej żałobnej daty; jeszcze kiedy Tekla odwiedziła Romana, zapewniał ją o swoich najlepszych zamiarach w stosunku do chłopca; w kilka zaś dni potem powiedział mu

wprost: „Ty, wiesz, nie jesteś mi już potrzebny! Zabieraj się! Masz tę tam swoją opiekunkę, stary jej zmarł, może ciebie weźmie; nawet lepiej ci będzie, bo tuczyła cię będzie jak prosiaka!“ Roman odszedł tegoż dnia, bo nie wiedział, czy może nie odejść? Do Tekli nie poszedł nawet nocować. Miał już znajomych chłopaków, przenocowywali go.

Jednak trzeba było z czegoś żyć; zarobić nie bardzo umiał, silny, ani bardzo zdrowy nie był; w polu się najając, albo do budowania dróg — nie potrafił. Tak więc imał się każdej roboty, posyłek, sprzedaży ulicznej, żeby tylko jako tako żyć. W tym czasie — miał rok osiemnasty — zapoznał się u kolegi z miłą dziewczyną, której się bardzo spodobał. Była to tak zwana „życiowa szansa“. Dziewczyna ta, ładna i ponętna, miała zabezpieczone środki do życia, bo rodzice odumarli ją niedawno i pozostawili jej budkę z sodową wodą i łakociami. Budka, na zbiegu ludnych ulic w dzielnicy robotniczej, miała dobry handel i z łatwością wychodziła na swoje. Mira od paru lat już zastępowała matkę w sklepiku, gdyż w rodzinie zauważono, że handel na tem zyskuje. Ładna dziewczyna nie miała też

żadnych ambicij, nie chciała pobierać żadnej nauki i wołała królować w swojej budce. Dziewczyna znała już dobrze życie i rozporządzała nieokiełznanym, zaborczym temperamentem, który nakazywał jej osiąść natychmiast wszystko, czego zapragnęła. Tak więc stało się i z Romanem. Nie potrzebowali nikogo się radzić. Mira przepędziła wszystkie ciotki i krewniaczki, które życzyły by się zaopiekować jej losem i nie dała żadnej nawet obejrzyć wybranego, ubogiego, prawie bezdomnego chłopca; zabrała go do siebie na noc w parę godzin po poznaniu, a w ciągu tej nocy przyszła do przekonania, że jej odpowiada i że należy pozyskać go na stałe. Uradzili więc, że się pobiorą. Romanowi nie zależało wcale na tem, skoro osiągnął już ciepłe mieszkanie, utrzymanie i ładną, zdrową, namiętą kochankę. Ale Mira obstawała przy sakramencie. Pobrali się. Roman miał dzięki temu kilka tłustych i sennych lat życia. Wstawał kiedy chciał; bywał albo nie bywał w budce, tak, jak chciał. I całodzienną sprzedaż w budce i wszystkie zakupy dla budki załatwiała żona. Utył bardzo na tem gospodarstwie; sennie i syto żył; tylko zmartwieniem żony było, że

nie mógł jej dać dziecka. Takie życie trwało aż do dwudziestego trzeciego roku obojga młodych, bo byli w jednym wieku. W tym roku (był to rok 1930) pewnego dnia Mira wyrzuciła Romana zupełnie tak samo, jak to zrobił uprzednio majster. Użyła nawet tych samych słów. „Wiesz ty“, powiedziała mu pewnego wieczora, rozpinając podwiązki, „idź już sobie jutro stąd gdzie chcesz, bo ja o małżeństwo takie nie dbam; nie jesteś mi już wcale potrzebny!... Małżeństwo, to ja uważam — dzieci, a ty tego nie możesz mi zrobić; zresztą, i tak — tyjesz, wysypiasz się i coraz to robisz się nudniejszy“ ...

Roman uniósł sennego już nosa znad poduszki (sypiali w jednym łóżku, ale daleko już było od ognistych uczuć pierwszych miesięcy) i chciał wyrazić oburzenie, ale mu to wcale nie poszło. Rozważył też milcząc, że w ciągu czterech lat kobieta ta pracowała na jego utrzymanie, a przecież niczem jej nie wynagrodził, bo chciała tylko dziecka; co zaś do mężczyzny, to — młoda i ładna — mogła ich mieć do wyboru. Krępował się spytać, czy ma już lepszego na widoku; kręciło się koło niej dość. Roman zawsze czuł się jakiś „przygodny“ w tem stadle;

tak jak przygodny był w pańskim mieszkaniu, przy ojcu, przygodny u majstra. Żeby się za bardzo nad nim nie wynosiła, ziewnął i powiedział: „A wiesz, że to i dobrze!... I ja mam inne plany... Nawet mi się już znudziłaś... Pewnie dlatego i nie masz ze mną dziecka... Bardzo chętnie nawet odejdę“... Mira popatrzyła na niego z zupełnie wyraźnym akcentem w oczach „dureń“, ale powiedziała bardzo grzecznie: „To posuń się lepiej do ściany; dużo zajmujesz miejsca“ — i odwróciła się do snu. Po paru dniach Roman opuścił swoje małżeństwo.

Tu już jednak okazały się wielkie trudności w prostej sprawie podtrzymania własnego bytu. Już o robotę było trudno. Nieraz też wracać musiał do Miry; prosić o pieniądze, które w drobnych ilościach otrzymywał; prosić o nocleg, o jakąś pomoc. Mira dopuszczała go grzecznie do stołu i umiarkowanie — do kieszeni, ale noclegów nie lubiła: kiedy zaś nocował, musiał spać osobno, na małej kanapce. Po kilku takich nawrotach do żony, zastał i tę furtkę zamkniętą. Przyszedł kiedyś wieczorem; nie miał pracy, niedojechał, poprostu nie miał gdzie nocować. Mira długo nie otwierała mu, a gdy wre-

ście otworzyła drzwi, zobaczył tylko jej wysuniętą rękę i dwa złote. — „Nie mogę cię nocować; wogóle przeszkadzasz mi; nie wracaj tu już więcej; wprost nie wiem, jak ty się nie wstydzisz“. Drzwi się zatrasnęły. Roman stał za drzwiami, zły i zmartwiony i słyszał, jak Mira, kładąc się spowrotem do łóżka, mówiła do kogoś popędliwie: „No patrz, ty!! Tacy są mężczyźni! Doi mnie i doi; nie wstyd to mu? Inne żony skarżą o alimenty, a tu ten!!“ Nagle głos jej zmienił intonację na miłą i czułą, przypominającą tę z pierwszych miesięcy ich małżeństwa i Roman usłyszał dokładnie: „I w takiej chwili, musiał, bydlę, stukać!!“.

Nędza i głód doprowadziły Romana, jak tylu innych, do kradzieży. Przyłapany, przyznał się w śledztwie do niepopelnionych przestępstw i nazwał nieistniejących współników. To — zamiast zniechęcić — ogromnie spodobało się wywiadowcy, z którym miał do czynienia. Zaproponował mu po odbyciu kary — służbę dla wywiadu. Poleciał mu pewne przygotowawcze studia już w więzieniu. Roman przyjął, jak się to mówi, z miłą chęcią. Nie miał istotnie żadnych skrupułów. Ciężkiej pracy pełnić nie mógł — tak

mu się zdawało; żyć potrzebował, głodowanie gnębiło go. Taka służba, zapewniająca i utrzymanie i nadto stosunki, odpowiadała mu. Siedział zresztą w więzieniu tylko dwa miesiące i po uwolnieniu natychmiast zabrał się z energią do nowych obowiązków.

W tem miejscu popełnił rzecz, którą sam w swym nierozwiniętym mózgu uznał jednak za świństwo. Mianowicie — zaskodził Mirze. Medytacje więzienne i rozmowy tam z „doświadczonymi” mężczyznami uświadomiły go, że Mira „nie miała prawa” postąpić z nim tak, jak postąpiła. Rozpamiętywał gorzko wszystkie wygody życia u niej i owo „wypowiedzenie” mu małżeństwa, wikt i opierunku jednej nocy; później — przepędzenie go w drugą noc, kiedy innego już darzyła miłością, a napewno i wiktem i opierunkiem... Nagle, niespodziewanie dla niego, w więzieniu wspomnienia te zaczęły go gryźć i parzyć. Postanowił „pokazać babie władzę”... Doszedł z kim żyła. Był to młody czeladnik piekarski, śliczny chłop, zapamiętały „buntownik” i socjalista. Nie mieszkał u niej, nie chciał wikt ani opierunku, sam miał dobrze płatną pracę, był kawalerem, przy-

chodził do niej noc w noc „z wolnej ręki”, żeby się kochać. Musiała więc mu się podobać.

Roman zadenuncjował tego chłopca. Doznał uczucia tryumfu — upajająco — nowego w całym jego życiu! — kiedy spotkał się wypadkowo z Mirą, wystającą pod więzieniem, splakaną do niepoznania, skrzepłą, wychudłą w cierpieniu. Nie widziała go i stchórzył pokazać się jej na oczy, choć przecie nie była w stanie dojść źródła swego nieszczęścia. Ale rzutu oka na postać jej wystarczyło, żeby dostrzegł, jak unosił się sweter na jej brzuchu, jak bardzo zaokrągliły się biodra; dopięła więc swego: miała mieć dziecko! Uczucie tryumfu spotęgowało się: „Dobrze załatwione!! Teraz dopiero musi ją boleć, że zabrano jej odpowiedniego samca”.

Denuncjując chłopaka Miry, Roman awansował na konfidenta, który potrafi mieć wiadomości ze środowiska ruchu robotniczego, może — rewolucyjnego. I tak właśnie doszedł Roman do swej ostatniej kariery.

Kryzys pogłębiał się, a wraz z nim wzrastały nastroje opozycyjne w społeczeństwie. Roman otrzymał pracę w jed-

nej z fabryk metalowych, gdzie postawiono mu warunek, żeby śledził za krzewieniem nastrojów opozycyjnych. Uczucie władzy i połączone z nim uczucie tryumfu stanowiły nowe, dodatnie przeżycia Romana. Mógł teraz telefonować do różnych panów, z którymi wiązały go i łączyły różne zadania, spotykał się z panami w różnych lokalach, wydawał się sobie czemś innym, nie tym Romanem od starego państwa, od majstra, od Miry... Zresztą, musiał zmieniać fabryki, bo robotnicy umieli się jakoś po czasie połapać i nieraz mogło mu być gorąco, gdyby w porę nie uszedł. W końcu uznano za wskazane, żeby Roman obrał sobie jakąś określoną fizjognomję polityczną i związek, z ramienia którego mógłby stale działać. Przez tchórzostwo, które było mu wrodzone, przez chęć łatwizny i wygodnictwa wstąpił do związku orjentacji rządowej. W ten sposób został delegatem w fabryce trykotaży pod firmą „Szpilka“. I to właśnie — służba konfidenta sprawiała, że Roman Gałkowski traktował tu swoje delegactwo tak jakby dożywocie.

Co do wygody, nie miał wprawdzie teraz tak dobrze, jak przed kilkoma laty

w fabryce metalowej. Tam delegaci, na zasadzie ustnej ugody zarządu fabryki ze związkami, bywali z reguły zwalniani od pracy przy warsztacie (od chwili wyboru i przez cały okres delegatury), a płatni byli tak, jakby pełnili swoją warsztatową pracę: tę samą mieli stawkę, przy jakiej zastał ich wybór na delegata. Teraz — lata kryzysowe, wzrastająca dążność właścicieli i zarządów fabryk do oszczędzania na robociznie, zmniejszające się od pięciu lat prawa i przywileje robotnicze sprawiały, że delegat nie otrzymywał tak doskonałych warunków i zasadniczo musiał robić przy warsztacie; dla społecznych zaś, delegackich obowiązków musiał wykrawać czas w przerwie obiadowej lub też po godzinach pracy. Oczywiście, ścisłe trzymanie się stricte takich warunków byłoby znów nie do pomyślenia. Przecież musiał wychodzić od czasu do czasu do inspektora pracy, nieraz musiał tracić całe godziny. Byłoby to z wielkim uszczerbkiem dla jego zarobków. Miał też i to na względzie, że czasem wypadało mu być w godzinach pracy w urzędzie bezpieczeństwa, kiedy miał coś tam do zakomunikowania. Uzyskał też zamas-

kowaną pomoc tego właśnie urzędu — interwencję „miarodajnych czynników“ u dyrekcji fabryki, żeby nie krzywdziła delegata Gałkowskiego, którego prorządowe nastawienie i dobroczynny wpływ na nastroje załogi robotniczej należało uważać za zupełnie pewne. Dyrekcja nie bardzo rozumiała spoczątku, dlaczego niepokąźny delegat Gałkowski korzysta z takiego poparcia, ale dla dobrych stosunków z urzędami — wolała być dobrze z ustosunkowanym delegatem. W końcu zaliczano mu każdą dniówkę i wszystkie dniówki za pełne, niezależnie od liczby wyjść i liczby przechodzonych godzin.

Gałkowski miał naogół w fabryce prawie święte życie. Robotnicy werbowani byli przeważnie z okolicznych wsi, nie tknięci żadnym trądem opozycyjnym i przepelnieni ową niewypowiedzianą zdolnością bezkresnego czekania na polepszenie warunków. Gałkowski doskonale rozpoznawał się w istocie warunków pracy w tej fabryce i umiał je porównać z lepszymi warunkami w innych fabrykach lub w latach przedkryzysowych, więc w duszy sam się dziwował niekończącej się cierpliwości robotniczej. Nabył

wprost rutyny w uspakajaniu robotników, w umiejętności obiecywania im pomocy, której nie wypełniał. Była to prawdziwa umiejętność i sztuka: tak przewlec, tak przemaglować każdą sprawę, każdą słuszną pretensję, tak ją rozwłóczyć po konferencjach bez określonego wyniku, po sieci interwencji, że z pretensji i sprawy w końcu nic konkretnego nie zostawało. W tej sztuce Gałkowski dopiął istnej doskonałości. Najuporczywszy robotnik, kiedy po pięcio- dziesięciokrotnem przypominaniu i pytaniu, bywał znów odsyłany do innego terminu, maglowany przy innej wątpliwości prawnej — odstępował od swej słusznej pretensji, a dziwna dobrotliwość i wyrozumiałość większości robotników sprawiała, że prawie nigdy nie dochodziło do żadnych poważniejszych wybuchów. Zaledwie kilka razy Gałkowski wyczuł, że ten i ów robotnik wpada na trop jakiejś bliżej nieokreślonej wątpliwości; że załamuje się zaufanie do delegata, że wyczerpuje się ta przysłowiowa „polska cierpliwość“. Wtedy umiejętnie intrygował między robotnikami, budził w innych podejrzenia co do tego, który przestawał mu ufać. Robił to bardzo

zręcznie, bez szczególnego nacisku, tak na przykład. Przeglądając książeczki obrachunkowe w obecności kilku robotników, natrafiał niby przypadkowo na książeczkę interesującego go robotnika (podłożoną umyślnie w tym celu w określone miejsce, żeby weszła pod rękę) i niby niechcący ronił nagle: „Ale ten, powiedzcie no, Jackowski (lub Malczyk), co on się tak koło majstra uwija? he? Ma w tem co, albo jak?! Nic nie rozumiem“... a zapytany wręcz: „Co sobie na ten przykład myślicie? O co idzie?“, wycofywał się wnet i zasłaniał — solidarnością robotniczą: „Nie, co znowu! kwestję chcecie mu robić o takie głupstwo?! Teraz w kryzysie nie rozbijanie, a łączenie nam potrzebne!... Nic takiego nie chciałem wcale powiedzieć“... Pozostawało niemiłe, niewyraźne wrażenie, że jednak z Jackowskim (lub Malczykiem) nie wszystko było w porządku, skoro się lizał do majstra. Czasem też robił — w mniej wyraźnych chwilach — masówkę i wręcz stawiał pytanie, czy mu ufają? Wyglądał przytem sam na pokrzywdzonego, na bidulkę. Umiał też ich „zażyć z mańki“: o kryzysie, o wzrastającej reakcji, ale też i o obcych agen-

turach, które sprzedają Polskę. Wszystko się tedy znów rozchodziło po kociach.

Gdy zaś naprawdę czuł, że się rwie, że czyjaś nagła czujność zaciska się mu dookoła szyi, wtedy miał przecie swoją najskuteczniejszą, niewidoczną, a ostrą broń. Uciekał się do niej wprawdzie tylko w ostateczności, bo bał się jednak kiedy przy tem wpaść. Tak właśnie było z Jackowskim. Roman czuł, że Jackowski nie dowierza mu i że żywi już określone zupełnie podejrzenie co do podwójności jego roli w fabryce. Malczyk też był nieufny, ale jakby się jeszcze łamał i wahał to na tę, to na jego znów stronę. Ale Jackowski był już całkiem zdecydowanym jego wrogiem. Pewnego dnia podszedł do niego przy warsztacie i powiedział mu półgłosem: „Słuchajcie, Gałkowski. Widziałem was wczoraj w takim miejscu, że wprost nie wiem, co o was myśleć!!!“ Gałkowski zbladł, bo rzeczywiście poprzedniego dnia odwiedzał to właśnie miejsce. „Nie rozumiem was“, wybełkotał — „o co chodzi?“. — „Nie chcę robić skandalu“, — powiedział tak samo cicho Jackowski — „ale radzę wam, usuńcie się lepiej sami z fabryki, bo już tu nie

możecie z nami być... Pracujecie na dwa fronty!...“ i odszedł.

Tej nocy, późno, Gałkowski prosił telefonicznie o posłuchanie w bardzo pilnej sprawie i z wszelkimi ostrożnościami udał się na widzenie. Zaklinając na wszystko, że może się wsypać i wsypać całą sprawę, prosił o przytrzymanie Jackowskiego jeszcze tej nocy. Starszy wywiadowca, z którym mówił, miał wielkie wątpliwości, jak się to da zrobić. Jackowski nic nigdy nie miał nietylko z żadnym komunizmem, ale wogóle z żadną polityką i jak go będzie trzymał? Tyle już ludzi siedzi bez dostatecznej przyczyny; to się jeszcze robi, jak co poważnego za tem stoi, ale żeby tak dla każdego przeciwnego konfidenta!... Gałkowski nie dawał za wygraną. „Tylko o to proszę, żebyście zabrali go dziś do aresztu, a ja wam w mig dowodów dostarczę, świadków i wszystko takie... Przecież wiecie, że to i to umiem zrobić... A jeżeli go nie zamkniecie dziś, to jutro już on może wystąpić przed załogą i wtedy będzie kłapa!“... W końcu wywiadowca się zgodził. Ale i tego jeszcze było mało. Gałkowski prosił o „nauczenie“ w urzędzie Jackowskiego, nieszkodliwie, ale tak, żeby się

choć parę tygodni nie mógł ani z nikim widzieć, ani pisać nic, bo inaczej przez żonę dałby znać do fabryki. Wciągu zaś paru tygodni będą i dowody „na mur“, no i Gałkowski zdąży się już tak koło Jackowskiej i dzieciaków zakrzętać, że jeszcze na dobroczyńcę wyjdzie... Sprawa została załatwiona. Przyczem załatwiona tak precyzyjnie, podług dokładnych próśb Gałkowskiego, tak że Jackowski nie został aresztowany w mieszkaniu (byłby zaraz pewno powiązał areszt z opisaną rozmową z Gałkowskim i na miejscu, choćby i przy policji, powiedział to żonie), tylko nad ranem, w podwórzu, gdy wychodził z ustępu, szykując się już do wyjścia do pracy.

Krzyknął wprawdzie głośno, gdy go zatrzymali, bo był ostry chłop i nie tchórz, ale wywiadowca, obecny przy aresztowaniu, ścisnął go tylko za łokieć i wyraziście go ostrzegł na ucho: „Dla pana lepiej spokojnie się zachować, bo dowody są takie...“, przyczem dyskretnie opuścił prawą rękę do kieszeni; posturkowy zaś zaburczał: „No, co tam, panie Jackowski, każdy tu pana zna, widać jakieś nieporozumienie, wytłumaczy się

pan na policji; tylko bez tych wywrotowych sposobów, bo to nas drażni!...”

Jackowski powędrował do aresztu. Tam już zajęto się dalszą asekuracją lojalności delegackiej Gałkowskiego. Gałkowski zaś miał swobodną rękę w opiekowaniu się wcale miłą żoną Jackowskiego, która choć nie dopuszczała do żadnej poufałości, ale przecie nie odrzuciła ręki wyciągniętej z pomocą dzieciom, w szkolnych, odzieżowych potrzebach, w życiu. Tak więc kilkanaście złotych, zebranych na ten cel w fabryce w imię solidarności robotniczej, Gałkowski oddawał osieroczonej rodzinie, kapitalizując wyniki własnego sprytu, pięknie rozwijającego się w sprzyjającej atmosferze, ufności i bierności robotniczej oraz sprawnie funkcjonującego urzędu.

Nie przemęczając się zbytnio pracą, używając w miarę alkoholu i kobiet, Gałkowski, jak w małżeństwie z Mirą, tył przy tej delegaturze, a dawne — drażniące nieco — odczuwanie siebie jako osoby, tkwiącej wszędzie przygodnie tylko — zastępowało zwolna spokojne, miłe, choć letnie, trochę wegetatywne, poczucie własnego ustatkowania; Gałkow-

ski określił to sam dla siebie słowem „dożywocie“.

Dożywocie wydawało się wcale mrowane. Nie zanosilo się na bliski kres ani ufności i bierności robotniczej, ani ustalonych metod postępowania ze środowiskiem robotniczym i społeczeństwem. Gałkowski nie przewidywał, że raz jeszcze w życiu zaskoczy go szybka likwidacja tych jego — ustabilizowanych zdawało się — życiowych zdobyczy.

Był bowiem człowiekiem płytkim, nie umiał się wcale rozpoznać w zmieniających się nastrojach mas, w prądach, które zaczynały już nurtować nawet w „uspokojonej“ załodze fabryki „Szpilka“. Bardzo zarozumiały, był pewny siebie i bardzo już dufny w trwałość tych wszystkich kanonów, które stanowiły ograniczoną mądrość jego życia i urzędowania. A tymczasem, mógł już nieraz zauważyć, że w związku włókienniczym i w okręgowej radzie związków zawodowych tego (prorzadowego) ugrupowania niejeden zdradzał już dalego idące w stosunku do jego osoby zastrzeżenia; niejeden miał już go pod stałą obserwacją. Gałkowski przyłożył się do szablonu: prorzadowiec — opozycja (wywrot-

wiec); podług tego szablonu układał całą swą strategję i na tem już dziś opierał wszystkie swe doraźne rachuby życiowe; mając sam niejako zanik pojęć i pobudek etycznych, nie brał pod uwagę, że tu i tam, niezależnie od politycznych różnic w poglądach, może natrafić na wartościowy element ludzki, o który rozbijają się, jak fale o skałę, jego kombinacje.

Gdy zaś zaczęło mu się rwać, to poszło odrazu na całego. Pewnego dnia, gdy przyszedł do sekretarza związku w sprawach „delegackich“, pierwszym człowiekiem, którego zobaczył w poczekalni, był młody piekarz, kochanek Miry. Gałkowskiemu pociemniało w oczach, ale opanował się i przyciskając do boku tekę, wsunął się pośpiesznie do pokoju sekretarza: przecie piekarz nie musiał go znać z twarzy!

Sekretarza nie było, zastępował go jeden z członków zarządu związku, bezrobotny przedzarr selffaktorowy, Jasio Mitek, „byczy“ chłop, kiedyś podoficer legjonowy, odznaczony krzyżem walecznych w wojnie polsko-sowieckiej. Mitek, zamiast zwykłego serdecznego uścisku dłoni, podrzucił tylko jakoś pociesznie brwiami i mówiąc: „Gałkowski: a to do-

brze, siadajcie!“, jednocześnie wyminął się z wyciągniętą ręką Gałkowskiego i otworzył drzwi do poczekalni. Gałkowski struchlał, gdy usłyszał: „Proszę, towarzyszu Nowicki, tu jest delegat Gałkowski“. Ku dalszemu przerażeniu Gałkowskiego, wszedł piekarz, bardzo spokojny, opanowany. Zmienił się znacznie, schudł: Gałkowski wiedział, że przebył dłuższy czas w więzieniu śledczym, nim go wypuszczono. Mitek serdecznie zaprosił Nowickiego by usiadł i częstował go papierosem. Gałkowski milcząc, łykał ślinę, napływającą mu do ust w ogromnej ilości i z niestłabnym strachem obserwowował, jak dobrze, serdecznie patrzył sobie ci dwaj w oczy. Wreszcie przemówił pierwszy Mitek. „Więc towarzyszu“ (jak na złość tak sadził tych „towarzyszy!“), „przykra to sprawa, dla nas byłaby bardzo niedobra, bo Gałkowski zorganizował nam parę fabryk i jest w jednej zastępcą... Może to jednak pomyłka! Rozmówcie się z nim tu przy mnie...“ poczem zwrócił się do Gałkowskiego, z widoczną przykrością przenosząc na niego wzrok: „Tutaj właśnie towarzyszu-obywatel od klasowców, obywatel Nowicki ze związku piekarzy oskarża was, że siedział w aresz-

cie politycznym przez wasze doniesienie“. Odrzucił wtył głowę i patrzył mu teraz wprost w oczy. Gałkowski chwiejną ręką zapalał swego papierosa. Po dobrej chwili i dopiero po namyśle, powiedział uprzejmie: „Ten pan — obywatel mnie nie zna. I ja go po raz pierwszy na oczy widzę. To pomyłka, albo przez jaką zemstę kto temu towarzyszowi naszczekał...“ Próbował tu uśmiechnąć się życzliwie do piekarza, ale spotkał się z tak bezlitosnym spojrzeniem, że zbladł pod niem, jak pod ciosem. Piekarz zwrócił się do Mitka i tu Gałkowski rozpoznał znów ze zgrozą rodzącą się między tymi politycznymi „wrogami“ serdeczność. „Z nim nie chcę wogóle mówić“, — powiedział piekarz i kiwnął głową w stronę Gałkowskiego — „to on to zrobił. Ja żyję z jego dawniejszą żoną, która go od siebie przepędziła: musiała sama całe lata na łobuza pracować i“... Gałkowski zastukał w tem miejscu palcem po stole. „Obywatelu“ — zwrócił się do Mitka — „nie pozwalajcież mnie znieważać!“ Ale Mitek, patrząc mu wprost w oczy, zagadał twardo: „Gadaj lepiej, czy to prawda, z tą żoną, i z tem twojem rozejściem się...“ „Nie należy to do rzeczy“ — bronił się Gałkow-

ski — „sam ją rzuciłem, ale nic do niej nie mam, nie mnie nie obchodzi, z kim tam teraz się przewraca... Nie chciałem jej...“ Zrobił wysiłek, żeby wzmocnić swój głos: „Sekretarza niema? Ty Mitek, do prawdy, brednie wyprawiasz, wysłuchujesz głupstwa, a swojego człowieka nie umiesz...“ Przerwał mu piekarz. Wstał, podszedł do Mitka i kładąc mu ufnie dłoń na ramieniu, powiedział: „Ja was, moi drodzy, w błąd nie wprowadzam. O tej rzeczy wiem sam dopiero od kilku dni, bo już wcześniej byłbym go szukał. Jak dowiedziałem się, że taki człowiek u was jest w związku, to najbliżej mi było do związku do was iść o sąd nad nim. A skąd wiem — powiem, od waszych zorganizowanych ludzi, nazwę ich i tu z nimi przyjdę!... Jest“, — dodał, stojąc tak wciąż przy Mitku i zdala patrząc na Gałkowskiego — „jest przecie jeszcze nasz ratunek, jest jedna uczciwość proletarjacka... Przyjdę tu z Malczykiem z tej fabryki, gdzie ten jest u was delegatem. Malczyk wie...“

Mitek, spocony z przejęcia aż po korzenie włosów, uściśnął dłoń Nowickiemu. „To straszna dla nas sprawa, rozumiecie, ja muszę mieć Malczyka na dowód... Bo

między wami była kobieta... No i wam przecie tego w więzieniu nie zdradzili!...” Nowicki odparł krótko: „Słuszna rzecz. Rozumiem. Musicie być organizacyjnie w porządku. Ja też wam coś zeznam...” Ale tu wysunął się Gałkowski. „Nie godzę się na Malczyka!” — zawołał — „bo każdemu w fabryce wiadomo, że to mój zaciekły wróg; tam też o jego narzeczoną to poszło... — On na mnie naszczeka, a jak ja się w takiej sprawie obronię?! Nie mogę się zgodzić na świadectwo Malczyka!” Nie rozumiał, że gubił się tem doszczętnie w oczach Mitka. Wyczuł tylko klęskę, gdy Mitek podszedł i zbliska spojrzął w twarz: dobroduszne zazwyczaj, żywe i miłe, ciemne oczy Jasia, „byczego” chłopca, były złe, były straszne. „To ty jesteś widać, Gałkowski, to śmierdzące bydło: to ty widać swoich naprawdę sprzedajesz; to ty jesteś politycznym szpiclem przeciw robotnikom; to mało dla ciebie stryczka, szkoda kuli; butem chyba tratować takie bydło...” chrypiał tak zduszonym głosem. Gałkowski cofał się, rzucając urywane wyrazy: „Samowola!!... Do sekretarza!!... Prezesowi będę!!!” — ale tu już wszedł między nich Nowicki: „Zostawcie go teraz, Mitek.

Tak nie możecie, tylko organizacyjnie sprawa musi przejść; musicie mieć — nasze zeznania; nie można inaczej... Za poważne to rzeczy...” Poprowadził go do biurka, a Gałkowski tymczasem jak bomba wypadł w drzwi. Nowicki usiadł przy Mitku.

„No, nieszczęście dla organizacji!” — powiedział — „Wiecie, że jestem od was inny i waszej organizacji wybraniać nie potrzebuję. Ale przecie wiem, że dużo u was porządnych chłopów, a i do was ot — duże zaufanie od pierwszej chwili czuję, i dobrze o was z fabryk słyszałem... Co robić! Takie coś i u nas, i u lewicy może się zdarzyć; a nawet na lewicy robotniczej to bardzo często, bo przecie cały ruch robotniczy tak chcą podjadać i kończyć!... Nie zamartwiajcie się tak zabardzo, chłopie!” — dodał serdecznie, widząc jak Mitek głowę na obu rękach wsparł i krył przed nim ciężki rumieniec wstydu. „Nawet wam, wiecie, już tak poza organizacjami, z proletariackiej solidarności, coś poradzę. Sprawę jego spokojnie, spokojnie prowadźcie, a szybko, a cicho. Jeżeli osobiście nie czujecie się na siłach, że to was zaraz rwie rozprawić się z nim, to niech to lepiej weźmie sam

sekretarz, albo i cały zarząd lub komisja specjalna. Malczyka wezwiecie a i ja przed każdym tu u was ciałem zeznawać będę, bo to sprawa nasza wspólna robotnicza!... I radzę wam tylko — zaraz go, natychmiast, dziś już zawieście w delegackich obowiązkach... Bo tych to już nie może dłużej pełnić“... Wstali. Mitek, zdrezczony moralnie, dziękował mu bardzo za życzliwość, za serdeczność. Żegnali się. Już Nowicki wychodził z pokoju, gdy Mitek wybiegł zza biurka i zatrzymał go. „Oto“, — powiedział — „i cóż tu dłużej gadać! Oto z takiej ciężkiej sprawy wyrasta odrazu, że musi być jednolity robotniczy front!! Nie?“ Roześmiał się piekarz i objął go ciepłymi promieniami swych czarnych, wpadłych w więzieniu oczu: „Tak“, powiedział tylko — „bracie!“

Ale Gałkowskiego nie zawieszono zaraz w czynnościach. Sekretarz, zarząd stanęli na stanowisku, że jakkolwiek sprawa wygląda na przegraną (Gałkowski wyjdzie na szpicla), ale dla organizacji takie przyznanie się do przegranej przed śledztwem politycznie nie jest ko-

rzystne. Próżno rzucał się Mitek i w pasji szarpał swój krzyż Pierwszej Brygady, z którym się nigdy nie rozstawał; próżno dowodził, że właśnie dla organizacji byłoby tak lepiej i korzystniej. — Poza-tem inni członkowie zarządu podejrzewali tu możliwość „intrygi opozycyjnej“ i woleli być ostrożni... Śledztwo zaczęło wprawdzie nazajutrz, ale Gałkowski przestał być w kilka dni potem delegatem nie w wyniku śledztwa (które sam wikał, doprowadzając swoich świadków) — a w wyniku zmian w obliczu politycznym załogi i wyborów nowego delegata.

Tegoż wieczora po zarządzie, gdzie przegrał zawieszenie Gałkowskiego, Mitek odszukał Malczyka (kolegę ze Strzelca) i poszli we dwójkę do Nowickiego. Odszukali go dopiero późno wieczorem u Miry. O sprawie Gałkowskiego mówili króciutko: Mitek już wiedział wszystko. Ale długo, długo w noc aż już miało świtać, siedzieli u Miry: wszyscy czworo ze sobą zwarci w trosce, gniewie i bólu; zaprzyjaźnieni tak nagle, ale już choćby i na śmierć.

III

DYREKTOR FABRYKI

Dyrektor fabryki „Szpilka“ Bronisław Baczyński był zupełnie przeciętnym dyrektorem zakładu przemysłowego. Według ustalonej w tym środowisku hierarchji zainteresowań obchodziła go przede wszystkim własna kieszeń, ambicja i karjera, potem — interes firmy, bo wiązał się ściśle z jego powodzeniem osobistym, a na końcu, oczywiście warunkowo — ojczyzna. Oczywiście warunkowo, o tyle o ile, gdyż pan Baczyński był już człowiekiem starszym, dopędzał pięćdziesiątkę i miał czas już nieraz zmieniać stosunek do tak zwanej ojczyzny. Przed wojną, jako inżynier z rosyjskiej szkoły, zarabiał świetnie w Zagłębiu Donieckim i wtedy imperjum rosyjskie było jego ojczyzną. Wprawdzie w domu (jego rodziców i później jego własnym) mówiono tylko po polsku (gdy byli sami); w każdym z miast imperjum nawiązywano stosunki przede wszystkim z kolonją pol-

ską. Ale polityczna orientacja Baczyńskiego (stronnictwo narodowo-demokratyczne) ułatwiała zachowywanie tej polskości z jednoczesnym akceptowaniem tej drugiej, widomej, efektywnie istniejącej ojczyzny — Rosji. Polska — owszem, mawiano o niej: ale to był już przecie, gdy abstrahować od niepotrzebnego romantyzmu, tylko lamus drogich pamiątek. Pan Baczyński potępiał też — razem ze swym stronnictwem — „szaleńcze utopje“, „źródło narodowej klęski“, któremi to epitetami pokrywał zarówno wspomnienia historii powstań, jak i nowe pasmo szaleńczych wyczynów — organizację nowej siły zbrojnej polskiej w postaci związków: walki czynnej, strzeleckiego, Legjonów, P. O. W. Szczególną zaś nienawiścią ział pan Baczyński, nawet jako człowiek jeszcze bardzo młody — do okresu rewolucyjnych, bojowych wyczynów Józefa Piłsudskiego i Polskiej Partji Socjalistycznej. Kiedy zdarzało mu się wyczytać w gazetach wiadomość o straceniu z wyroku sądowego, czasem zaś — o rozstrzelaniu przez policję na ulicy, którego z bojowców, mimowoli zaciskał pięści i szeptał do siebie: „A la bonne heure! A la bonne

heure!!! Dobrze im tak! Buntownicy! Socjały przekłete!“ — W kolonji polskiej w Odesie, Kijowie czy Rostowie, wszędzie gdzie mu się zdarzało przebywać — manifestował chętnie swoją orientację. A że miał ostry temperament, więc dostawało się nieraz takiej panience lub studentowi, którzy zbierali np. na walkę z lokautem łódzkim w latach 1905 — 8, na ofiary po poległych na manifestacjach w Królestwie, a potem — na umundurowanie oddziałów i t. p. „Nie daję!“ — odrzucał ostro — „i piętnuję! potępiam!! Tak, będę krzyczał, że szaleństwo, nowa dywersja, nowe nieszczęście narodowe!“ — Nieraz też miewał na tem tle utarczki ze zwolennikami czynnej walki o narodową niepodległość. Rewolucja rosyjska w r. 1917 wyprowadziła pana Baczyńskiego z fazy umiłowania rosyjskiej ojczyzny. Spoczątku wspomagał czynnie (pieniędzmi) wszelkie białe formacje i żywił nadzieje, że to „tałałajstwo zetrą z oblicza ziemi“ (dosłowny przekład z rosyjskiego: sotrut s lica ziemi), ale po czasie, gdy mu zachorowała jego willa pod Odesą, gdy zaniemógł i nawet zmarł majątek w Połtawszczyźnie, Baczyński zaczął likwidować, jak się

dało, swój dorobek życia w rosyjskiej ojczyźnie i „wyemigrował“ do tej drugiej ojczyzny: ex-lamusa, nieprawdopodobnym sposobem ożywionego z niebytu. I tu przeżył Baczyński okres bardzo przykry, bo choć rosyjską ojczyznę utracił, — polskiej jednak nie mógł uznać! To bowiem, co widział teraz w Polsce, napawało go najwyższym oburzeniem i wstrętem! Gloryfikacja, tryumfalny wjazd, powszechne uznanie władzy człowieka, który był niewątpliwie hersztem i duszą tamtych czerwonych bojówek, potem zaś szaleńczych oddziałów smarkaterji — nietylko nie zgadzało się to z najgłębszymi przekonaniem pana Baczyńskiego, ale poprostu wykluczało możliwość przyjęcia takiej ojczyzny. Potem — „hańba rządów Moraczewskiego“, zjazd chłopstwa, rady robotnicze — koniec świata!

Baczyński nie uznał tej ojczyzny i przez dłuższy czas był człowiekiem bez żadnej ojczyzny. Założył sobie tymczasem biuro techniczne w Warszawie i niedługo zaczął w tym nieprawdopodobnym kraju nienajgorzej zarabiać.

Jednak przez szereg lat jeszcze Baczyński nie mógł (choć chciał!) przywią-

zać się do tej ojczyzny. Ustąpił przecie rychło Moraczewski, Daszyński; przychodził Paderewski, Witos, Sikorski: Baczyński widział u władzy własne stronnictwo polityczne, — jednak nic prócz zarabiania pieniędzy, nie dogadzało mu w Polsce. Nic mu nie pachniało. Wszystko było jakoś zupełnie inne o wyobrażeń o ewentualnej (nieprawdopodobnej zresztą) restauracji Lamusa, jeżeli ją sobie kiedy w Rosji wyobrażał. Zasadniczo wstręt do Polski wynikał stąd, że nie czuł się tu — sam nie wiedział dlaczego! — całkiem pewnie: nawet taki strzał Niewiadomskiego, któremu oczywiście współczuł, budził jednak w nim rodzaj niepokoju („A gdyby tak odwet?!“) No a cóż dopiero dni krakowskie w r. 1923: wizja „czerwonego“, robotniczego Krakowa!! Baczyński miał synowca, akademika, który w dniach tych był właśnie w Krakowie. Młodzieniec ten na całe już życie zachował nienawiść do proletariatu, gdyż twierdził, że w dniach tych, gdy robotnicy walczyli na ulicach, spacerując po mieście w białych getrach nie były przez nich mile widziane: zatrzymano go raz i kazano mu przestać pętać się pod nogami, gdy idzie rozgrywka o ży-

cie. Jakiś podobny uraz miał stale Baczyński w stosunku do Polski, jakkolwiek obserwował przecie budowę państwa kapitalistycznego, z zachowaną faktycznie stanową hierarchją.

Szczytowy punkt obrzydzenia do polskiej ojczyzny, zupełnego odwrócenia się od niej przeżywał Baczyński w dniach przewrotu majowego w r. 1926. Odcięty od terenów walk ulicznych w spokojnym Mokotowie, siedział jak trusia w dostatniej willi, nic nie wiedząc; ale przez cały dzień z przestachem patrzył na chorągiew zamku Belwederskiego: czy nie ustąpi Wojciechowski przed rebelją, bolszewickim buntem, przed drabami, których na latarnię!!! I oto przyszedł pewnego wieczoru moment, kiedy ulice Mokotowa zaroily się od robotniczych postaci z czerwonemi opaskami na ramionach, z karabinami w rękach: postaci te, jak pierwsze jaskółki na wiosnę, sygnalizowały zwycięstwo Piłsudskiego: to robotnicza milicja P. P. S., przed wstąpieniem zwycięskich oddziałów wojsk na Mokotów, badała i zajmowała dzielnicę. Szarpnął, otworzył okno: minę miał tak wściekłą i rozjuszoną, że młody robotnik, który przechodził właśnie pod kamieni-

ca, zaśmiał się i dla żartu wymierzył w jego okno lufę karabinu. Baczyński zamknął pośpiesznie okno, padł na krzesło przy stole i uronił głowę na ręce, szlochając z żalu i złości, jak dziecko. „Bandyci!“ — wył — „bandyci, ściervo, psia krew!! Koniec! koniec! uciekamy!! Nie przeżyję już tego więcej!!“

W tych pamiętnych chwilach Baczyński był też na przedmieściu tym wyjątkiem, który klaskał entuzjastycznie generałowi Zagórskiemu za rozstrzelanie z samolotu robotnic, stojących w ogonku przed sklepem żywnościowym przy zbiegu ulic Puławskiej i Narbutta. Zdarzyło się to nazajutrz po wkroczeniu wojsk do Mokotowa, o godzinie dziewiątej rano: samolot opuścił się tak nisko, że widziano generała Zagórskiego, jak wprawił w ruch karabin maszynowy. Baczyński skakał przed oknem z zachwytem i bił bravo: „Rycerz!“ — wołał „Bohater!! Zbawca honoru!!“ Kiedy zaś podnoszono zabita kobietę i robotnicy, zaciskając pięści, biegli do miejsca wypadku, Baczyński syczał: „Dobrze jej tak! Dobrze! z pewnością bolszewiczka, jak oni wszyscy!!“

Po tych wypadkach, w ciągu roku — dwóch nie było dla Baczyńskiego żadnej

ojczyzny, zdecydowanie nie. Zarabiał wciąż nienajgorzej, ale przemyślał wciąż o emigracji i ciułał sobie potrosze pieniądze w zagranicznym banku. Dopiero w r. 1929 zdarzył się w życiu Baczyńskiego epokowy przewrót: oto odzyskał ojczyznę!

Stało się to tak. Późno jesienią zjawił się u niego synowiec (ów obiecujący młodzieniec w białych getrach) i po dłuższym opowiadaniu o własnym życiu i własnych zdobyczach oznajmił Baczyńskiemu, że oto teraz ojczyzna go potrzebuje i że przychodzi (zapewnie w osobie synowca) pozyskać go dla pracy „społecznej”. Wyłożył mu zasady solidaryzmu społecznego, scharakteryzował i zanalizował rolę, udział i widoki różnych klas społecznych w budowie aktualnej rzeczywistości polskiej, udowodnił konieczność „współpracy z rządem” tak zwanych “sfer gospodarczych”. Odmalował oczywiście dość plastycznie niewątpliwe zdobycze i wygody, jakie wynikną dla tych sfer z tej współpracy. Okazało się, że synowiec już był czynnym działaczem B.B.W.R. w stolicy. Proponował Baczyńskiemu zbliżyć się za jego pośrednictwem do wybitniejszych działaczy tej orientacji w przemy-

śle, obiecał zapoznać go z paroma wyższymi urzędnikami gospodarczych resortów i umówił się konkretnie wprowadzić go w najbliższych dniach na brydża do jednego z eksponowanych w tem ugrupowaniu ludzi.

Baczyński od pewnego czasu miał już własne refleksje, zbliżające go cokolwiek do ojczyzny, ale jednak miał jeszcze dużo obaw i wątpliwości; zadał tedy synowcowi pytanie: „No, dobrze, mój drogi! Wiem przecie, że to jest dyktatura! Zapewne bliższe mi to jest, niż rządy robotniczo-włościańskie!! Ale powiedz ty mi, czy Jemu naprawdę można wierzyć? Życie Jego, to całe życie nie budzi zaufania, rozumiesz! A i teraz, ten maj: te sankiuloty popierały Go. A Zagórskiego pamiętasz?... Czy aby można wierzyć panu Piłsudskiemu, że nagle nie skręci do socjalizmu?” — Synowiec energicznie rozwiał te wątpliwości. Dawne sprawy nie mają znaczenia. Mussolini był też dawniej socjalistą, a jednak zadał śmiertelny cios światowemu socjalizmowi. Zresztą — czem się ryzykuje?! Trzeba spróbować: im więcej ludzi dobrze myślących skupi się koło rządu, tem pewniejsze utrzymanie status quo i większa możność przeciw-

działania destrukcyjnym prądom. Dorzucił też praktycznych argumentów, proponując Baczyńskiemu rozszerzenie jego dotychczasowej „gospodarczej” płaszczyzny działania. W końcu Baczyński dał się namówić. Pomędzy owym pierwszym brydżem a objęciem zarządu w fabryce „Szpilka” minęło blisko siedem długich (i tłustych dla Baczyńskiego) lat, urozmaiconych powodzeniem w interesach, imponującym rozwojem stosunków towarzyskich w „miarodajnych” sferach, nabyciem kilku „objektów”: willi w Gdyni, willi w Krynicy, mająteczku w Kieleckiem. W miarę posuwania się po tych szczeblach majątku i kariery uczucia Baczyńskiego dla polskiej ojczyzny nabierały coraz większej rzewności, coraz gorętszej temperatury i natężenia. Powstał nawet w nim jakiś skomplikowany stan, mieszany z dumy, zapału i zadowolenia, że służy tak wybitnie ojczyźnie.

„Nietylko polakiem trzeba być” — mawiał teraz — „ale dobrym polakiem!” Uwijał się też z młodzieńczą energją wszędzie, gdzie tylko mu wypadało, pozyskiwał dla obozu cennych ludzi ze środowiska inżynierów, handlowców, prze-

mysłowców. Robił nastroje wyborcze. Należał do wskazanych stowarzyszeń. Pomędzy brydżem w domu, a polowaniem w majątku, łowił nowe potrzebne znajomości i zamocowywał je wszelkimi dostępnymi węzłami. Dużą pomocą w tem wszystkim stała mu się żona. — Rozstał się bowiem — przed pięcioma laty — z poczciwą, niemłoda, mało elegancką kobietą, która zapewne odegrała w jego życiu dobrą rolę, ale w młodości i w rosyjskiej ojczyźnie. W nowych warunkach, wobec potrzeby wmontowania się w aparat nowej, polskiej ojczyzny, okazywała się nie na miejscu: zbyt ciężka, zbyt naiwna, mało dowcipna i wogóle dziwaczka. Odeszła z wielkim żalem i uprowadziła dorosłą prawie córkę, udzielając mu zresztą rozvodu niemal bez słowa. Wypłacał jej skrupulatnie niewielką sumkę na utrzymanie w małym prowincjonalnem miasteczku, gdzie miała krewnych.

Nowa żona spadła mu jak z nieba. W błyskawicznym tempie montowała jego karierę w nowej ojczyźnie. Wogóle jego życie szło teraz w błyskawicznym tempie. Młoda, wyzywająco-przystojna kobieta nie traciła czasu. Spotkał ją

w gronie swych nowych politycznych przyjaciół, na jednym ze zjazdów społeczno-politycznych. Zaimponowała mu odrazu wielką bystrością umysłu. Siedzieli właśnie w grupie kilkunastu osób i pili w restauracji szampana, gdy ktoś z obecnych zaczął wspominać czasy wojenne. Wywiązała się stąd rozmowa, kto i gdzie był. Baczyński asystował bardzo pannie Zosi i nie bardzo też śledził wątek rozmowy. W pewnej chwili szepnęła mu do ucha:

„Gapi się pan!! Towarzystwo legjonowe! Musi pan tu coś skłamać!“ Osłupiał z podziwu: dotychczas jeszcze nie próbował tej drogi. Przyjrzała mu się uważnie i oceniła od jednego spojrzenia, że nie potrafi zręcznie skłamać w tej dziedzinie. Wyczekała tedy chwilę, a potem opowiedziała towarzystwu przezabawną historyjkę o swoim wuju, który razem z tym oto panem Baczyńskim schował podczas rewizji skład broni w łóżku chorej na fluksję ciotki, sam widok której zniechęcił młodych żandarmów do głębszych poszukiwań. Towarzystwo — podgazowane — wypytywało o weselsze szczegóły i tak oto Baczyński został „niepodległościowcem“.

Był wprawdzie moment, kiedy bystrość umysłu Zosi sprawiła mu dużo mniejszą przyjemność. Baczyński zapoznał się z jej rodzicami — zrujnowana ziemiańska rodzina z Podola; brał stuprocentową pannę, śliczną dwudziestodwuletnią dziewczynę. Po ślubie, rozanielony, dokonał pewnego odkrycia które zwarzyło mu humor.

„Zosiu!“ — powiedział kwaśno — „Nie mam żadnych pretensji, oczywiście?“... Długo milczał. „Ale mogłaś mi powiedzieć!“

Odwróciła się ostro do ściany i odpowiedziała krótko, ucinając łeb niepotrzebnej rozmowie:

„Mój drogi! Nie umiesz się rozpoznać!“ Zamilkł z podziwu: nie spotykał jeszcze takiego tupetu. Ale nie poruszył już drugi raz tej kwestji. Zosia zaś już nazajutrz oświadczyła mu, wstając:

„Małżeństwo, mój drogi, porządne polskie małżeństwo, — musi mieć dzieci!. Staraj się o to piorunem! Jedź do wód albo jak, jeżeli nie jesteś siebie pewny: jesteś dużo starszy odemnie. Ja przeznaczam na to macierzyństwo tylko pierwszy rok.“

Pod urokiem tej djabelskiej dziewczyny-

ny, Baczyński starał się jak mógł. Miała więc z nim dziecko, syna. Karmiła go dwa tygodnie, poczem odstawiła od piersi i zajęła się swym biustem. W jednym dniu były dwie odrębne narady: jedna, dotycząca pielęgnowania biustu i doprowadzenia go do idealnego kształtu po doznanych zmianach, druga — hodowli syna przez pielęgniarzkę i sztucznego żywienia. Gdy zaś Baczyński próbował wtrącić do opinii lekarza i swoje zdanie, że jednak trzeba jeszcze małego karmić mlekiem matki, Zosia spiorunowała go wzrokiem i kategorycznie odrzuciła wszelkie dalsze rozmowy na ten temat:

„Moje piersi, czy panów wchodzą w grę?! Więc szkoda gadania!“

Baczyński usunął się: to była indywidualność!

Po urodzeniu syna pani Zosia zajęła się montowaniem kariery męża (i własnej sytuacji materialno-towarzystwej) na własną rękę. Umiała to pierwszorzędnie. Gdy potrzeba było pozyskać sobie poparcie, czy sympatię osób starszych i o pojęciach więcej starodawnych, pani Zosia wybierała się z wizytą w skromnej gładkiej sukience, z twarzyczką pozbawioną wszelkiej szminki: całowała starsze pa-

nie w rękę, nie lubiła współczesnej sztuki, a już broń Boże — literatury!

„Może to śmieszne, może jestem staromodna na swój wiek, ale dla mnie niema lepszej lektury jak Rodziewiczówna...“

Nikt jej wprawdzie nie wierzył, ale uważano to za miłe. Gdy zaś trzeba było uzyskać jakąś przychylną opinię o mężu w urzędzie, zbierała skrzętnie wszystkie wiadomości o danym (zawsze wysokim) urzędniku i wówczas, odpowiednio ubrana, przychodziła w tej sprawie do biura. Sposoby jej były jednostajne, nie trudziła się nad ich urozmaicaniem, bo nie było potrzeby: działały. Siedząc, w rozmowie, zakładała nogę na nogę i w pewnej chwili podnosiła sukienkę tak, żeby było widać nogę wyżej kolana. Obliczenie było bezbłędne: jeżeli natrafiała na cnotliwego, skromnych obyczajów pana (taki uniknąć mógł się też przecież zdarzyć), no to najwyżej spuszczał oczy i nie podnosił tej zaczepki. To się zdarzyło pani Zosi tylko raz, na niezliczoną ilość takich wizyt. W przeważającej liczbie wypadków zaczepkę tę — mniej lub więcej aktywnie — przyjmowano i albo wystarczał sam widok nóżki dla uzyskania potrzebnej opinii, albo następowało pogłaskanie

nóżki albo — i to najczęściej — małe spotkanie, krótki wyjazd za miasto.

Pani Zosia zapatrywała się na to filozoficznie: „Nie ubędzie mi“ — „Nie zabiorę tego do grobu“ — to były jej aforyzmy. A sprawy bywały załatwiane i karjera posuwała się naprzód.

Czy Baczyński o tem wiedział? Pozostaje to tajemnicą. Ale gdyby wiedział, należy sądzić, że przyjałby i to na rachunek ofiar i poświęceń dla ojczyzny, którą już naprawdę kochał!

Pani Zosia była też specjalistką od urządzania obiadów z niezbędnymi ludźmi. A jakże. Wszystko wtedy bywało „ef-ef“. Zastawa, treść obiadu, napoje, kawa. Światła do brydza, i w saloniku, i w buduarze. Sama u siebie na przyjęciach nie grywała. Musiała czuwać. Czuwała precyzyjnie. Gdy pito, umiała spojrzeć na obiecującego dyrektora departamentu, podnieść kieliszek w górę i wypić zdrowie... „pana ministra“. A gdy oponował że nie, że wcale nie zanoszą się, uśmiechała się łagodnie i znacząco i mówiła: „Że nie, to wiemy. Ale będzie pan, będzie!“ Dziesiątki wpływowych i często niegłupich panów pozyskiwała sobie właśnie tym sposobem. I z kobietami

umiała sobie radzić. Czasem, siedząc przy wpływowej pani, nagle podnosiła jej rękę (czasem — łapę niedźwiedzia) i mówiła półgłosem:

„Ta linja, ta!... Bardzo oryginalne...“ — Gdy w polowaniu w majątku ich wziął udział minister (czasem taki biedak w pół-setce wieku dopiero uczył się rozpoznawać w polowaniu), umiała rzucić do kogoś uwagę:

„Pan minister ma w sobie to naturalne zrastanie się z przyrodą! To rasowy myśliwski dar!“

Minister, zadający sobie piekielny trud takiego szkolenia w późnym wieku, notował taką uwagę w bardzo wdzięcznej pamięci. Mógł rozumieć, że odnosiła się ona bardziej do ministra, niż do niego: ale to było miłe, z ręczne, to wdzięcznie brzmiało w powietrzu... to robiło dobry nastrój! dodawało humor!

Tak więc posuwała się w życie młoda pani Baczyńska, a odmłodzonemu, niepodległościowo brzmiącemu teraz Baczyńskiemu światała już Polonia Restituta...

Pani Zosia miała wrodzony dar organizacji pracy, podobnie jak majster Zielnik, tylko na innym terenie i przy innych możliwościach. Wrodzone wyczucie za-

sad strategii dyktowało jej wyznaczanie punktów, przeznaczonych do kolejnego opanowania. „Mamy trzy najważniejsze punkty w mieście, których zdobycie zapewni wspaniały rozkwit twojej kariery” — mówiła do męża — to Izba Skarbowa, DOK i oczywiście — przede wszystkim wojewoda. Prezes Izby Skarbowej ułatwi ci rozwój twojej placówki, D.O.K. — no wiesz, to nie jest bezpośrednie, ale wolę zawsze z tymi sztabami, dwójkami i t. d. być w zgodzie i mieć tam dobrą markę... No, a dobre stosunki z wojewodą — to jest dziś właściwie wszystko! Izbę Skarbową ja biorę na siebie, bo tam jest taki dalszy kuzyn tatusia i znamy się jeszcze z Kresów... Nie myśl nic takiego, bo miałam parę lat, jak to już był dojrzały pan... Rozumiesz, rodzinna życzliwość, wspólne środowisko!... Wojsko? no musiałabym też wiaść na siebie, bo cóż ty tam wskórasz! Że też naprawdę nie umiałeś w porę przystąpić do tych tam Legjonów, albo choć już do tego Przewrotu Majowego, gdybyś się choć tam kręcił!” (Baczyński przypomniał sobie skrycie, jak klaskał wyczynom generała Zagórskiego.)

„Trudno, nie masz za grosz zmysłu or-

ganizacji życia... Więc i to ja. Choć tu mam tremę, bo generał wydaje mi się niewrażliwy, a znów generałowa, bardzo określona... brrr... Trudno. Biorę i to. No, a co do wojewody, to trzeba działać na dwa fronty. To jest współczesny, światowy człowiek, już ja mam o nim dobre wiadomości... To biorę na siebie ja.

Ty do sportów, nart, polowania jesteś śmieszny: nawet lepiej się nie zabieraj, przeszkodzisz mi. Ja mam trening w nartach, sznyt w tańcu no i wiesz wogóle... Nie wiem tylko jeszcze, czy on ma temperament, czy też tylko takiego kręcka?! Rozumiesz, nie idzie mi o coś takiego, tylko sam wiesz, że człowiek chce albo nie chce przebywać w towarzystwie kobiet, chce lub nie chce dogodzić... Ty znów masz przy nim swoje określone zadanie. Wiesz, słyszałam w klubie, że ten człowiek nie utrafia do „stylu” miasta; no wiesz, do tych historycznych pamiątek, zabytków i t. d. Ja myślę: współczesny człowiek, co go to obchodzi! Otóż podobno to mianowanie go nie wzbudziło zachwyty nawet w tych, wiesz, „stuprocentowych” legjonowych sferach... Otóż wyrażne twoje zadania: podmurowywać go w tak zwanej opinii... Masz znajomych,

kręcisz się cały dzień między ludźmi, masz wielkie interesa, wyjazdy, przyjęcia, bywasz u różnych ludzi... Przyłóż się do robienia mu tej podmurówki!... Czy to ostatecznie pomoże mu, czy nie, to prawda, nie może nas bliżej obejść: ale zato taka rzecz odrazu się rozniesie po mieście, on się dowie, że działasz bezinteresownie ku jego podtrzymaniu, podmurowywaniu autorytetu i t. d. Słowem, „propaństwowa działalność“... — „Prorządowa“ — wtrącił Baczyński, pogrążony zresztą w pracowitych rozmyślaniach na tematy, poruszane przez genialną żonę. „Propaństwowa!“ — odrzuciła z temperamentem pani Zosia — „zupełnie nie nadajesz się do polityki: propaństwowa, to mocniej, szerzej i trwalej. I lepiej brzmi, bardziej przekonująco.“

Zabrali się tedy wspólnie i pracowicie do wykonywania tego planu. Sympatje decydujących „ciał“ w urzędach skarbowych pani Zosia pozyskała piorunem. Wspólność środowiska, kresowe wspomnienia działały. Bardzo mało straciła nawet na to czasu. — Wojskowe zato sfery nie poszły łatwo. Tam panowało jednak jakieś sekciarstwo. Nieprzyjemna generałowa, była w młodości nauczycielką,

peowiaczką i powiastki pani Zosi na temat broni w łóżku ciotki (które ze skutkiem nieraz już powtarzała), spotkały się tu, zamiast z dobrze wychowanym potakiwaniem, — z nieufną kontrolą: w czym domu, kiedy właśnie, z kim, z czyjego polecenia, w jakim kontakcie i t. d. Nie szczęście chciało, że miasto wymienione przez panią Zosię było generałowej jak najlepiej znane właśnie z tego okresu konspiracji: imiennie znała tam cały, szczupły i dobrany, skład odpowiedzialnych cywilnych konspiratorów oraz żołnierzy, delegowanych w okresie wojny dla celów konspiracyjnych. Pani Zosia wpadła, jak nigdy w życiu: męczące wy pieki wystąpiły na delikatnie umalowaną twarzyczkę.

Generałowa zastosowała się wprawdzie natychmiast do wymogów dobrego wychowania, wycofała z tej rozmowy, zapytała o dziecko, ale oba małżeństwa odczuły, że nic z tej znajomości nie będzie. Baczyńscy prędko wyszli, a generałowa określiła ich jednym, dosadnym słowem: „Hochsztaplerzy“. Generał, spokojny, beznamiętny filozof, sprostował to z wielkim umiarem: „Przesada!! O tę broń ci chodzi? No to przecie w B. B.

przynajmniej co trzeci człowiek wymon-
tował dziś sobie jakąś historję niepodle-
głościową! Baczyńskiego zaliczają poza-
tem do zupełnie pewnych i do ważnych
ogniów w gospodarczych sferach... Pośle-
my im bilety i na tem się skończy.“

Kompleks wojewody, w myśl planu,
małżeństwo opracowywało wspólnie.
Tak z miejsca, o jakiejś ofensywie, nie
było co myśleć, bo wojewoda miał wyso-
kie stosunki, wysokie mniemanie o sobie
i wcale się nie przykrawał do prowincji.
To miało być czasowe, ta prowincja.
Przez kilka miesięcy nawet nie otwierał
domu: wstęp małżeństwa z wizytą, choć
mieli już drogi, nie był wskazany. Ale
pani Zosia niedarmo pochodziła ze starej,
dostatniej rodziny ziemiańskiej i we
krwi już, jak mawiała, „prócz kozackie-
go temperamentu“ miała umiejętność
obracania się dokoła swych celów i za-
mierzeń, a zwłaszcza gdy wchodziły
w grę „tricki“ towarzyskie. Więc właśnie
pierwszy okres, nim wojewoda otworzył
swoją dom, jako dom rodzinny, nadawał
się najlepiej i dla strategji pani Zosi, i dla
„roboty“ pana Baczyńskiego.

Pan Baczyński działał zdala i został
tylko przygodnie raz przedstawiony wo-

jewodzie na jakiejś uroczystości. Ale pa-
ni Zosia w parę tygodni po objęciu przez
wojewodę urzędowania dojrzała już do
osobistej, mniej formalnej znajomości.
Urządziła to sobie wcale pomysłowo. Po-
szła w składzie delegacji od stowarzysze-
nia dobroczynnego, które miało wyraźną
fizjognomję endecką i zachowywało się
dotąd w stosunku do władz z wielką re-
zerwą.

Pani Zosia wkupiła się do tego stowa-
rzenia znacznym datkiem, podparła
się osobą jednej z wpływowych tam pań,
którą potrafiła sobie pozyskać i osobiście
zobowiązać; skłoniła do wyłonienia ta-
kiej delegacji, dotyczącej urządzenia ko-
lonji dla dzieci bezrobotnych z pomocą
województwa. Gdy przed wojewodą
usiadły trzy panie, dwie z nich określił
sobie w myśli jako „krowy“; trzecia była
urocza i niezwykle zgrabna, zafascyno-
wała go też z miejsca. Gdy mianowicie
zorientował się w reprezentowanej orga-
nizacji, zauważył, iż jest mile zdziwiony
tym kontaktem, gdyż na dotychczas zaj-
mowanych stanowiskach spotykał się
nieraz z nieufną postawą tej organizacji,
a conajmniej — niezyczliwą powściągli-
wością. Dwie krowiaste paniusie, wyczu-

wając niezręczność sytuacji, zaczęły coś bąkać, ale pełna temperamentu pani Zosia spiorunowała je wzrokiem, wojewodzie zaś odpaliła prosto z mostu:

„To wszystko, panie wojewodo... muzyka przeszłości!“, przyczem roześmiała się tak czarująco i zaraźliwie, że z nią razem śmiał się i wojewoda i nawet zaczęły się uśmiechać obie panie. Gdy wojewoda zegnał delegację, obiecując napewno poparcie, podziękował im za nawiązanie miłego kontaktu, na co otrzymał odpowiedź pani Zosi, równie jak pierwsza kategorię:

„To już jest efekt przybycia tu pańskiej Osoby, Panie Wojewodo! Sobie tylko Pan zawdzięcza takie zmiany!!“ Bardzo mile zmierzili się oczami. Wojewoda odniósł i zapamiętał sobie jaknajkorzystniejsze wrażenie. — Pani Zosia stosowała zmienną taktykę: czasem dawała odczekać, czasem „kuła na gorąco“. Psychikę wojewody zanalizowała w kierunku potrzeby „kucia na gorąco“: może był rozproszony? nie zanotuje sobie w pamięci? To też wybrała się nazajutrz wieczorem do dancingu (mąż był poza miastem) z parą starszego, życzliwego małżeństwa skarbowców, które pragnęło

(wspólność środowiska) umożliwić Zosięnce porządne wytańczenie się. Pani Zosia miała dokładne wiadomości, że wojewoda jest obecny w mieście i że tu przyjdzie około dziesiątej. Rzeczywiście przyszedł z dwoma panami, zapraszał do tańca upatrzone na sali damy i prawie natychmiast dostrzegł, poznał i ocenił panią Zosię. Była w skromniutkiej, gładkiej sukience dancinowej z kawałkiem futra, pozwalającej widzieć tylko całe plecy. Kontrastował z tem prowokacyjnie przód, osłonięty aż po gardło. Nie była już wcale podobna do delegatki w biurze: była poprostu olśniewająco-efektowna, piękna. Wojewoda znał małżeństwo skarbowców, zresztą znanym był z tego, że nie hołdował żadnym towarzyskim ceregielom. Zaprosił więc natychmiast panią Zosię, a że tańczyła bez zarzutu, więc tańczył z nią tylko przez cały ten wieczór. Przypadli przytem sobie do gustu tak walnie, że nie mogli wcześniej zakończyć zabawy. To też starsze małżeństwo (taktowne dzięki wspólności środowiska) bardzo przeprosiło wprzód panią Zosię, że musi iść już spać, potem pana wojewodę, że musi obarczyć go obowiązkiem odwiezienia przemilej pani Zo-

sieńki do domu, w ich zastępstwie. Nie-
skrępowana porą, pani Zosia dała się od-
wieść do domu o trzeciej nad ranem,
wprost z dancingu. Wojewoda prosił
o częstą możliwość takich spotkań, bo
zrobili wspólną obserwację, że są jakby
„odrazu stańczeni“ ze sobą, a dla dobrych
tancerzy — no, to się wie, taka okazja nie
jest do pogardzenia...

Pani Zosia dodała tu marząco, że rze-
czywiście, to się rzadko zdarza: nietylko
podobne odczuwanie muzyki, rytmu tań-
ca, ale i chyba dobrana budowa ciała, nóg,
ramion... — „Tak się dobrze układamy
ze sobą, nieprawdaż?“ Że zaś układała się
i miła rozmowa, i wspólne zainteresowa-
nia sportowe, więc oboje uznali znajo-
mość za wymarzoną. „Sztama“ została za-
warta i odtąd pani Zosia — ile razy chcia-
ła — mogła spędzić z wojewodą czas na
dancingu, w doskonałych warunkach po-
ruszania różnych tematów przy kielisz-
ku likieru lub wina, lub jeszcze lepiej —
z ust do ust, z bliskiej odległości postaw
współczesnego tańca.

Echa „roboty“ Baczyńskiego, oczywi-
ście doprowadzone do wojewody, nie po-
trzebowały już nawet nic dodawać do sy-
tuacji: wojewoda zanotował sobie ten

dom w szeregu domów życzliwych. To
też gdy Baczyński przy jakiejś okazji
przedstawił się powtórnie wojewodzie,
w biurze, spoglądając mu przy tem z od-
daniem w oczy, wojewoda poprostu uści-
snął mu rękę i powiedział: „Panie, ja je-
stem człowiek czynu, nie lubię zbytecz-
nych słów! Znam pana i panią. Krótko:
mam do państwa zaufanie! Przepraszam
pana, ale mam telefon!“

Była to jedna z chwil, w których Ba-
czyński poczuł uwielbienie dla tego typu
ludzi.

„Jakże głupio sądziłem ich“, — mówił
w domu do genialnej żony: „to morow-
cy! morowcy, wszystko piorunem, odra-
zu zrozumiane, odrazu sztama!“ A żona
pokiwała głową:

„Bo ty się nie bardzo umiesz rozeznać“.

— — — — —

W fabryce Baczyński nie przesiadywał
dużo. To był za mały dla niego interes.
„Kierował“ oczywiście, ale z góry. Miał
tam zespół wyszkolonych i pewnych lu-
dzi. Miał zresztą pozatem inne większe,
i dużo bardziej dochodowe interesy przy
montażu „gospodarczego dobrobytu pań-

stwa". Wszystko oczywiście — propań-
stwowe rzeczy! Nie mógł się więc zacieś-
niać do wąskiego odcinka.

Jednak kierował fabryką sprężyście
i dobrze wiedział, co się tam dzieje. Krót-
kie błyskawiczne rozmowy, jakie odby-
wał w fabryce, aż nadto o tem świad-
czyły.

Gdy aresztowano Jackowskiego, zanie-
pokoił się. „Co jest?! może tu się dosta-
ła opozycja?“ — zainterpelował kierow-
nika administracyjnego, pana Pańko-
wicza.

„Ależ nie, panie prezesie! Nic takiego!
Mamy całe sto procent prorządowców“.

„No, to jakże, dlaczego urząd śled-
czy?“ — „Panie prezesie“ — powiedział
Pańkowicz — „sądzę, że to jakieś skutki
osobistych tu między robotnikami roz-
grywek. Ale co nam do tego? Posiedzi
i pójdzie na bezrobocie, my wzięliśmy
już na to miejsce innego“. — „No, natu-
ralnie“ — konkludował prezes: „nam
z pewnością nic do tego, tylko patrz pan,
bo ja nie chcę u siebie opozycji!“

„Będę uważał, panie prezesie.“

Po jakimś czasie wypłynęła kwestja
sprzeciwu robotników w sprawie niepra-
widłowego ich obliczania. Pańkowicz za-

raportował, że inspektor pracy inżynier
Miernik, już od kilku miesięcy o tem na-
pomyka, nawet chciał sam mówić z pre-
zesem.

„A o czem mam z nim mówić? Dobry
sobie!! Co się dzieje? Czy pan tam na-
prawdę ich krzywdzi?!“

Pańkowicz uśmiechnął się z wdzię-
kiem: „No panie prezesie, pan ma do-
świadczenie... Zaokrąglic wypada: to czy
mam na korzyść ich, czy firmy?!“

Baczyński aż odsunął się z krzesłem
z oburzenia: „O takie głupstwo? Także
coś!! A oczywiście, że na korzyść firmy!
Proszę pana, każę! Toż bolszewicy chyba
u nas pracują, nie? Nie będę gadał
z Miernikiem! I tak pojutrze mam z nim
brydza u dyrektora banku, to mu wygar-
nę! Dobry sobie! Dzwonił dziś jeszcze?
To oddzwoń mu pan: powiedz mu, że
owszem, byłem, słyszałem i niech nam
z tem głowy nie zawraca! A jak nie umie
sobie z robotnikami radzić, to mu zwolnię
całą tę załogę i znajdę dziś zaraz takich,
co bez książeczki i bez obliczeń, za sam
tylko chleb pracować będą!“ — Pańko-
wicz krytycznie przysłuchiwał się temu
wybuchowi pasji dyrektorskiej.

„Oj, panie prezesie! Nie jest już dziś

tak dobrze, jak było w 1932, 33 roku... Oni tu jakoś w oczach twardnieją, panie prezesie!“

Baczyński nie lubił „zawracania głowy“.

„Panie, co pan mi tu krakać przychodzisz! Ja już raz w Rosji przeżywałem bolszewizm, bez światła w domu, bez wody, bez klozetu i wszystkie te ich socjalistyczne przyjemności!... A tu w Polsce przeżyłem taki strach w tym 26-ym roku, kiedy się bałem, że socjalizm wprowadzać będą... Teraz nareszcie żyję, wiem, że mam Polskę, ojczyznę jak się patrzy: dobre stosunki z wojewodą, z każdym — a pan mi tu na nerwy działa!! Pesymista pan, czy źle pan trawi?! Nie chcę tego słuchać! Masz przecie pan Gałkowskiego! Siadywał z nami, psia jego mać, na różnych akademjach i tam dalej, to niech teraz działa!! No co jeszcze?!“ — dodał — widząc zakłopotany uśmiech urzędnika.

„Panie prezesie“ — powiedział skromniutko Pańkowicz — „no boję się już mówić, bo pan prezes mi wymyśla od pesymistów... Ale i Miernik, i Gałkowski, nie mają już tu u nas wiele do gadania... Tu się tworzy jakoś samorzutnie... Kto ich

tam wie jak... Wśród tych świętej cierpliwości chłopów, głuptasów... tworzy się jakiś wspólny front“...

Baczyński porwał za kapelusz i ostro podał mu rękę.

„Pan masz chore nerwy, albo tam coś u pana nie działa! Przewietrz się pan dobrze, wyładuj, bo masz jakieś... — szkodliwe urojenia! Żegnam. Sam załatwię z Miernikiem!“

— — — — —

Tak pod władzą spółki z nieprawdziwego zdarzenia: dyrektora, delegata, inspektora pracy w państwie o demokratycznych, robotniczych ustawach ochronnych, w warunkach zupełnego lekceważenia sobie wszelkich ludzkich praw robotnika, — powstawał, jakby z oparów bagnistej mgły, ów tajemniczy, nienawistny dla jednych, zbawienny dla drugich — robotniczy front...

IV

INSPEKTOR PRACY

Robotnicy fabryki trykotaży pod firmą „Szpilka“ prócz społecznego zastępcy w osobie delegata Romana Gałkowskiego, mieli stałego urzędowego zastępcę na mocy ustaw prawnych — inspektora pracy. Obwodowy inspektor pracy, inżynier Jan Miernik, objął „Szpilkę“ pod nadzór przed dwoma laty. Miernik należał do rzędu ludzi bardzo ułożonych towarzysko; był nietylko uprzejmy, ale układny i bardzo grzeczny: w manierach jego, sposobie podawania i brania ręki, w wyrazie oczu i sposobie zaglądania w oczy rozmówcy było dużo słodyczy, lepkiej, jak miód i cieplej, miękkiej, jak trykoty. Tę cechę słodyczy, przelewającej się na zewnątrz (ale nie dotykającej wnętrza Miernika) przeniósł on poprzez całe swoje życie. Z tą słodyczą zdał maturę i zrobił dyplom politechniki rosyjskiej przed wojną, z tą słodyczą posuwał się w Pol-

sce po szczeblach służby inspekcyjnej, dziwił się w roku 1918 konfliktowi dokoła białego orła („Po co było zdejmować, ale jak już się stało, to po co było wkładać spowrotem tę koronę?”); z tą samą słodyczą przeprowadzał drobne walki i intrygi w środowisku służbowo-koleżeńskim, konstatował w sobie nagle usposobienie do przyjęcia teorii „führerizmu” (wodzostwa), bronił się przeciw wyciąganiu konsekwencji z jego oportunistycznego, nijakiego, niesumiennego spełniania obowiązków inspektorskich. Słodycz więc — miodowo-trykótowa — towarzyszyła wszystkich życiowym wyczynom i zdobyczom Miernika. Pierwsze zetknięcie jego z robotnikami w nowym ośrodku czy też fabryce (Miernik często zmieniał miejsca urzędowania) bywało również pod znakiem słodyczy, bardziej umiarkowanie wydzielanej, niż w innych środowiskach, („Nie możemy się spoufalać jako urzędnicy!”), ale dostatecznej, żeby dobrotliwe środowisko robotnicze odpowiadało narazie dobrem przyjęciem. W wielu ośrodkach swego urzędowania i nawet przez długi dość czas Miernik utrzymywał dobrą opinię o sobie tylko dla tej jednej przyczyny: nie

bywał szorstki, ani surowy. Była więc to jego sztuka życia i urzędowania.

Miernik był inspektorem pracy od początku tworzenia inspekcji w niepodległej Polsce i słusznie mógł się uważać za jednego z najbardziej doświadczonych, znających warunki urzędowania inspektorów. Znał rzeczywiście znakomicie wszystkie możliwości wymijania się na tym urzędzie z istotną pracą, znał dokładnie psychikę urzędników ministerstwa pracy, całą atmosferę wahań i ewolucyj, w której, jak w parującym kuble, wygotowywało się kierownictwo urzędu tego w Polsce. Umiał tedy wychodzić zwycięsko z każdego niebezpieczeństwa i z każdego zamieszania. Urósł też do miary zdolnego urzędnika, ustosunkowanego inspektora pracy, typu uważanego niekiedy przez władze za raczej dodatni. Od wielu inspektorów pierwszego okresu Polski różnił się gruntownie brakiem wszelkiego zainteresowania pracą inspekcyjną. Zresztą, umysłowość Miernika, klasycznie płytka, nie dopuszczała wogóle żywszych i głębszych zainteresowań umysłowych. „Wyżywał” się on i wyładowywał na całkiem innych odcinkach. Kochający mąż i ojciec, chętnie

pomnażał liczbę członków swej rodziny i w wieku około lat czterdziestu, miał już sześcioro dzieci. Rodzinne instynkty nakazywały mu pieczołowite dbanie o swoją gromadkę: dzieci powinny były mieć dobre warunki, sport, letniska, wycieczki, odpowiednią odzież, naukę języków obcych poza szkołą, muzykę, plastykę i t. p. To wszystko razem bardzo dużo kosztowało i bardzo trudno było na to wszystko zarobić. Miernik uważał się za klasycznie-uczciwego człowieka. W obrębie jego pojęć o uczciwości mieściły się jednak od samego początku takie np. rzeczy: gdy zawarł z pewną fabryką wyrobów wełnianych umowę, dotyczącą sprzedaży wyrobów urzędnikom ministerstwa na raty, nie wahał się liczyć kolegom drożej, niż sprzedawała mu firma, poczytując różnicę za słuszne wynagrodzenie swego pomysłu i osiągniętego porozumienia. Była to rzecz, która w koleżeńskim gronie już dawno, w najmłodszych latach życia polskiej inspekcji określiła oblicze Miernika. Wprawdzie zatuszowano tę sprawę; ktoś, kto uczynił to odkrycie, zgodził się nie wynieść tego poza obręb urzędu; kontaktowanie się urzędu i urzędników ze światem przemysłu i han-

dlu dość prędko wyłobilo ścieżkę wątpliwości etycznych w tej dziedzinie: „Czy to mu się jednak nie należało? za fatygę? za pomysł?“... „Ale dlaczego to ukrył przed kolegami?! Przecież to już dowód, że sam to uważał za nieetyczne!“...

„No“, — odpowiadali inni, — „krępował się postawić to z nami handlowo; wstydził się, oczywiście, niepotrzebnie!“ — Tak utarła się Miernikowi ta pierwsza próba.

Potem przyszły inne pokusy, wyrastając, jak piętra w budowanym domu, z jego rozwijającej się pracy inspektora. Gdy koledzy nie chcieli kupować w innej fabryce na raty, np. porcelanowych serwisów do herbaty czy kawy, (nie chcieli, bo nie każdy zarabiał na samą kawę lub lepszą herbatę, a pić mógł w szklance i zwykłym kubku), Miernik wzruszał ramionami, słodził namową; potem — krótko rozmyślał i zawierał z fabryką umowę, oczywiście już ustną, dla siebie samego, uzyskując raty jeszcze bardziej dogodne i ustepliwe. Spłacał te raty, ale gdy przychodziły inne dziecinne lub osobiste potrzeby, (cóż dopiero mówić o chorobie w domu!), prosił o ulgę w terminie, przewlekał; zasadniczo był zawsze za

wypłaceniem się do końca, chyba, że wkraczały istotnie „siły wyższe“: likwidacja fabryki czy danego działu, przeniesienie firmy do innego obwodu lub... inspektora w inne miejsce i t. p. Potem zdarzyły się pojedyncze wypadki przyjęcia tego lub innego upominku od firmy. To wcale nie były łapówki! Tak więc np. jedna fabryka wyrobów marmurowych — w uznaniu dla taktu i sumienności Miernika, który załatwił przewlekły konflikt ku zadowoleniu obu stron, właściciela fabryki i robotników — nadesłała mu przepiękny garnitur na biurko, dużej stosunkowo wartości i parę waz do mieszkania. Inna znów fabryka — w analogicznej, czy innej okoliczności — wyprodukowała „specjalnie dla pana inspektora“ ogrodowe mebelki, na które zwrócił przelotnie uwagę przy wizytacji. Gdy urzędnik firmy przywiózł mebelki, Miernik, rozpluwając się w słodyczy, chwycił za pugilares i wykonał szereg gestów, oznaczających: „zapłacę“... Ale urzędnik — dobrze ułożony pan z kulturalnej rodziny ziemiańskiej, zdeklasowanej przez przewrót bolszewicki na kresach — był upoważniony oświadczyć panu inspektorowi imieniem właściciela fabryki, że właści-

ciel poczytywałby sobie to płacenie za osobistą, ciężką, naprawdę niezasłużoną, zniewagę... Miernik zaprzeczył: na stanowisku inspektora każda najdrobniejsza rzecz narazić może jego i urząd na krzywdzące posądzenie, zwłaszcza jeżeli zdarzy się niedługo jakaś akcja robotnicza, której nie będzie mógł rozstrzygnąć na rzecz robotników (w swoim sumieniu). Dobrze wychowany urzędnik firmy rozwinął wtedy tak przekonywującą argumentację! Że nie wolno kopać przepaści pomiędzy urzędnikiem, oczywiście podpora, prawą ręką rządu a uczciwym, lojalnym obywatelem-przemysłowcem, który przecie w miarę swych sił ma najlepszą wolę doskonalenia bytu szerokich mas, tworzenia dobrobytu państwa i t. p. i t. p. Że takie odrzucanie bezinteresownego odruchu prostej życzliwości (bo jakież to koszt dla firmy!), takiej nowej formy koleżeństwa pomiędzy urzędnikiem niepodległego państwa polskiego a obywatelem spowoduje znów wzajemne piętrzenie się nieufności, niezyczliwości, a przecie — wspólne są nasze cele i dążenia w tej naszej ojczyźnie i t. d., i t. d. Wkońcu żona Miernika, która od kwadransu pod drzwiami przysłuchiwała się

tej rozmowie, weszła do pokoju, dar przyjęła, a urzędnika zaprosiła na obiad.

Zdarzył się raz wypadek, że właśnie taki garnitur na biurko, czy inna rzecz, stała się przedmiotem długich rozmów w ministerstwie. Zredukowana maszynistka inspekcyjna wygadała się, że sama przyjmuje drobne podarunki od inspekcyjnych klientów, gdy zaś uczyniono jej zarzut, wysypała informację, że to samo — w większych rozmiarach — robią inspektorzy w niejednym obwodzie. Wtedy grupa urzędników ministerstwa zwróciła się do kierownictwa inspekcji, że winno to być przedmiotem dochodzenia. Tu jednak spotkali się z tak zawilemi wywodami filozoficznymi na temat, co wolno, a czego nie wolno inspektorowi pracy, od czego się zaczyna łapówka, a na czym kończy się drobny upominek (wyraz solidaryzmu społecznego i zreformowanego stosunku do urzędnika własnego państwa), że cała akcja spaliła na panewce.

Miernik wprawdzie przyjeżdżał, to i owo wyjaśniał, o tem i owem opowiadał, to i owo naświetlał, ale się służbowo nie zachwiał. Umiał odpowiednio argumentować, siejąc podkojującą

ślodycz. Z kim że to ma przestawać, znać się, przebywać i przyjaźnić inspektor pracy? Czy władze mogą skazywać go na odosobnienie i samotność, czy też polecają mu zniżać się do poziomu towarzyskiego i intelektualnego robotników, sekretarzy zawodowych, obcowanie z którymi nie naraża inspektora na zarzut sprzedajności, czy też choćby interesowości? Przecie inspektorzy pracy, w dużej mierze ludzie z wyższym wykształceniem, wywodzą się przeważnie ze środowiska inteligencji, zamożniejszego mieszczaństwa lub też z rodzin ziemiańskich i szlacheckich. Czy władze mogą żądać, żeby inspektorzy pracy zerwali stosunki z rodziną, krewnymi, kuzynami, kolegami studjów?! I jak to wpłynie na kulturę osobistą inspektora pracy? A znów, jeżeli obcuje ze środowiskiem, z którego wyszedł, to czy nie jest naturalnem wzajemne świadczenie usług, drobnych uprzejmości, całkiem bezinteresownych, w drodze życzliwości wzajemnej?!

Wszystko to było bardzo przekonujące i doskonale dobrane do umysłowości zwierzchnictwa, które zresztą dorzucało nawet współbrzmiających argumentów. Przecie dzieciństwem jest przypusz-

czać, że inspektor pracy, inżynier czy prawnik, człowiek wykształcony, pochodzący z kulturalnego środowiska, dałby się kupić obiadem u fabrykanta, głupim groszowym upominkiem i z tego tytułu mógł się zaniedbywać w swych obowiązkach, w surowem, ale taktownem wykonywaniu prawa? Ludzie, którzy tak myślą, poprostu krzywdzą tem inspektorów pracy.

No i tak właśnie wychodził inżynier Miernik z wszelkich wątpliwości i dochodzeń służbowych.

Z dyrektorem fabryki „Szpilka“ stosunki odrazu ułożyły się bardzo poprawnie, metodą świadczenia sobie wzajemnych usług i grzeczności. Dyrektor Baczyński potrzebował dla fabryki pewnych dróg w obozie i w rządzie. Miernik otarł się swego czasu o Legjony, nie o tyle, żeby tam krwawić, albo nawet powąchać prochu w polu, ale jednak o tyle, żeby mieć tam i ówdzie- kolegów lub znajomych w legjonowych kołach. Służył więc chętnie Baczyńskiemu temi stosunkami, rozmaitemi ścieżkami do różnych urzędów. Wzamian Baczyński, człowiek bogaty, rozporządzał wielką możliwością okazywania usług innej natury. Miał np.

własną willę w jednym z uzdrowisk, do której rodzina jego nigdy nie wyjeżdżała, gdyż inna ich willa w innem uzdrowisku miała bardziej komfortowe urządzenie. Miernik z rodziną zadawałnią się skromniejszą willą i miał w ten sposób za bezcen letnisko dla dzieci. Oczywiście — w razie jakiegoś miarodajnego zainteresowania się temi świadczeniami, miał zupełnie przygotowane alibi dla udowodnienia, że rodziny Mierników i Baczyńskich od wielu lat łączyły zażyłe stosunki.

Inżynier Miernik posiadał przedziwny talent nawiązywania i utrzymywania w każdym miejscu swego urzędowego przydziału bogatych, mnogich stosunków różnego kalibru. Pochodziło to stąd, że umiał i lubił każdemu usłużyć. Tam obiecał poprzec, przy okazji bytności w stolicy, czyjaś prośbę o tytoniową lub wódczaną koncesję, tu znów podejmował się załatwić jakieś dogodniejsze rozłożenie podatków na raty, lub też poparcia jakiegoś rządowego obstalunku dla tej czy innej firmy, nawet — wydanie czyjegoś rękopisu w sprawach przemysłowych lub handlowych na koszt instytucji rządowej lub naukowej. Jak stąd widać, zasięg in-

terwencyj i usług Miernika był bardzo rozległy. Stawało się to oczywiście przyczyną jego niepospolitego zalatania i zajęcia, nic przecie nie mających wspólnego z wykonywaniem ochrony pracy. Codziennie notowane na kalendarzu w biurze interesy telefoniczne, listowne, ustne wypełniały wiele godzin, a godziny „wypadania“ na miasto w sprawach, wymagających osobistego ukazania się, fatalnie wkraczały zazwyczaj w godziny ruchu fabryk, wyznaczone uprzednio godziny konferencyj rozjemczych w biurze, lub też konferencyj z innymi urzędami w sprawach fabrycznych. Nie można też było stwierdzić, że Miernik złośliwie i świadomie działał ku pogorszeniu warunków pracy w obwodzie i w fabryce „Szpilka“, ale nawał pozainspekcyjnych zainteresowań, problemów, siucht, pośrednictw, przeważnie powiązanych mniej lub więcej subtelną i pośrednią nicią z przeorywaniem sobie wygodniejszych materialnych warunków bytu, utrudniał mu niesłuchanie cokolwiek bardziej dokładne, sumienne i owocne sprawowanie ochrony pracy. Jeżeli nawet Miernik bywał w biurze w godzinach urzędowych, to najczęściej bywał nie-

przytomny spowodu rozstawionych na kalendarzu, jak szpilki na rozkrzyżowanym motyłu, terminów, przypomnień, notatek, tyczących się tego lub innego interesu, polecenia, przygotowywanego wyjazdu. Gdyby się kto mógł rozpoznać w wielkich skrótach tych notatek, przekonałby się, że wśród nich sprawy inspekcyjne tkwiły jak rzadkie rodzynki w oszczędnie przyprawionem niemi cieście. Nikt jednak tego rodzaju wnikania w czynności inspektora pracy, jednostki służbowej o wysokiej autonomji, nie wykonywał.

Była też inna jeszcze przyczyna, dla której wyniki urzędowania Miernika w obwodzie i w fabryce „Szpilka“ musiały być z natury rzeczy anemiczne, nijakie. Przyczyna ta wiązała się bezpośrednio z istotą owego zalatania Miernika. Okoliczność zalatania bowiem wynikała z wciągnięcia się w koło usług dla „sfer gospodarczych“, stosunki zaś z temi sferami czyniły wręcz nietaktownem wszelkie usiłowania realnej ochrony pracy. „Sfery“ te bowiem tolerowały inspektorów i inspekcję pracy tylko o tyle, o ile cała ochrona pracy nie wychodziła poza obręb kompromisowego, anemicznego,

teoretycznego raczej nadzoru. Każde wyjście poza ten obręb powodowało natychmiast kwasy, pretensje, w atmosferze której zwiędłyby i zmarzły delikatne roślinki hodowanych przez Miernika nowoczesnych, życzliwych stosunków pomiędzy urzędnikiem w ojczyźnie a lojalnym obywatelem. Od czasu do czasu Miernik musiał oczywiście — w obwodzie wogóle, a nawet i w fabryce „Szpilka“ uczynić jakiś gest iście-inspektorski. A więc np. wziąć książeczki robotnicze dla skontrolowania prawidłowości obliczeń.

Bywały to ciężkie dla Miernika chwile!

Gdy pewnego dnia zaszedł właśnie w takim celu do fabryki i zażądał książeczek obrachunkowych do kontroli, nie przewidywał wcale, jaką burzę rozpęta. Usiadł w małym gabinecie, usłudze ofiarowanym mu do „urzędowania“ i poprosił o wezwanie delegata Gałkowskiego, którego zdażył już poznać jako rozsądnego, umiarkowanego w swych żądaniach, skłonnego do zgody przedstawiciela załogi. Ale nieszczęśliwy wypadek chciał, że była to właśnie przerwa obiadowa. Gałkowski nie zdażył jeszcze wsunąć się do gabinetu, gdy tuż za nim, dep-

cając mu po piętach, wcisnęło się bez pytania kilkunastu robotników i robotnic. Miernik, zawsze uprzejmy, zirytował się jednak na to wtargnięcie:

„Co jest? Nie prosiłem panów, tylko delegata! Awantura czy co? Po cóż panowie mają delegatów, jeśli trzeba z całym hurmem gadać?!“

Tu spojrział na zegarek, przerażony, że za wiele mu to zabierze czasu. Przeklinał już w duchu tę całą zamierzoną kontrolę książeczek, które przecie mogły jeszcze czekać: robotnik jest cierpliwy, póki się go nie poruszy. Robotnicy zagadali odrazu i ponuro:

„A bo tak, panie inspektorze, że przecie czasby był temi książeczkami się zająć!“ a inny:

„Sami już widzimy, że nas tu oszukują przy potrąceniach“; jeszcze inny:

„A do czego inspekcja, jak nawet takich, co przez prawo ściśle przewidziana nasza obrona, nie załatwia?“

Jeden zaś, na uboczu stojący, młody chłopak, o suchotniczym wyglądzie, powiedział ironicznie, świdrując inspektora oczami:

„Do Pana Inspektora, to prędko trudniej się będzie dostać, jak do cesarza“...

Miernik skurczył się pod tą ofensywą i złościł się dalej, przygadując:

„No proszę, konkretnie, panowie, tu nie wiec!... Gdzie i kogo nieprawidłowo obliczyli? bo nie będę tu przecie całego dnia z wami marnował!”

Wtedy wysunął się jeden za drugim, brudnymi rękami pogmyrał w książeczkach, swoją odszukał i inspektorowi czarno na białym wykazał, jak został oszukany w tej wypłacie na 40 groszy, w poprzedniej — na 60 i t. p. przez nieprawidłowe obliczenie stawki, lub potrącenie na ubezpieczenia.

Miernik nie wierzył; na szpargałku papieru dodawał, mnożył, obliczał i... w końcu musiał przyznać, że wszyscy skarżący mieli rację: zostali ordynarnie oszukani, bywali ustawicznie oszukiwani przy wypłatach. O, to już było gorzej! Młody suchotnik z niewinną minką zauważył:

„No, to teraz naucz go Pan, Panie Inspektorze, bo przecie za to można karać; myśmy się już przepytawali”...

Inni zaś przyglądali się Miernikowi — jak mu się wydało — kpiarsko. Miernik nasrożył się i odparł:

„Nie będzie mi pan wskazywał, wie

pan, co mam tu robić!” ale czuł, że minę miał rzadką (grzeczności, to letnisko; a pał to diabli, tę głupią kontrolę, a toż to wjechał) i że robotnicy naprawdę pokpiwają: pocichu, delikatnie, między sobą, ale pokpiwają z tego wpadunku. Czyżby wiec mieli naprawdę jakie wątpliwości, obserwacje, zastrzeżenia co do jego osoby?

Czemprędzej zlikwidował posłuchanie.

„No więc, moi panowie, to już widzę! Jest wasza racja, obrachunki nieprawidłowe! Ja w to wejrzę. Idźcie panowie z Bogiem, tylko pan Gałkowski niech tu zostanie, załatwimy to z nim”...

Robotnicy, kłaniając się, wychodzili, prosząc:

„To niech już Pan Inspektor, nie odkładając, wyreguluje te nasze krzywdy”...

Gałkowski wstał i kiwając się w ich stronę z uśmiechem, zamknął za nimi szczelnie drzwi. Gdy usiadł, Miernik zapalał właśnie papierosa i poczestował go.

„No, widzi pan, panie Gałkowski, teraz cała chryja! Obrachunki nierzetelne i to taka głupia rzecz, doprawdy: na grosze oszukują! Ale ci ludzie tu u pana bardzo niecierpliwi; tak mi się jakoś stawali i coś tego, wie pan” — pociągnął nosem —

„coś mi to nie pachnie! A raczej, pachnie mi to, ale brzydko. Oni to sobie porządnie obmyślili i przygotowali; a czy pan o tem wiedział? Nie?! Więc to panu powiem, że to mi pachnie — opozycją!!“

Gałkowski wydał pogardliwie wargi.

„No, znowuż, Panie Inspektorze, nie trzeba przesadzać! To jest ich prawo, nie żadna opozycja! Czego się Pan Inspektor tak irytuje?“

Miernik przeglądał machinalnie książki i nagle odrzucił je na bok, aż się rozsypały poza stół.

„Irytuje!! Dobry mi sobie!! Wszystkie książki poszachrowane!! Czy pan ma pojęcie, co by go to powinno kosztować, taka rzecz, żebym go karał?! Ile nieprzyjemności? Właśnie musi pan wiedzieć, że jest mi dyrektor w tym czasie potrzebny, do takiej, wie pan, państwowej, politycznej, no, prorządowej, słowem jednej akcji; wcale mi nie na rękę, no, wprost niemożliwym jest dziś kawały mu robić. A ci znów tak mi wyglądają, jakby się chcieli zniecierpliwic! No i masz cały kram! Wie pan przytem, że nie mam życzliwego człowieka w okręgowym inspektorze, mam go wprawdzie gdzieś, ale cholera jeździ do Warszawy, zawsze

coś nakręci! No, powiadam panu, strasznie mi to nie na rękę!“

Gałkowski pozbiierał rozrzucone książeczki, zaciągnął się papierosem i wycedził przez zęby:

„Można to załatwić spokojnie. Niech Pan Inspektor da temu pokój, jak są ważniejsze“; — mrugnął — „państwowe sprawy“ ...

Miernik czuł się tego dnia źle i — zasadniczo lekkomyślny i ufny — węszył i tu jakiś fortel.

„Nie, co znów!! Pan sobie wszystko lekceważy! Że też pana oni znoszą i obierają! Ja nie mogę sobie pozwolić na takie — dać pokój. Muszę tę sprawę podjąć. Trudno. Nawet książeczki zatrzymam. O...“ odłożył sobie cztery książeczki do teki.

„Do dyrektora dziś nie wstąpię, bo już nie mam wcale czasu, a i tak się z nim rozmówię dziś-jutro. Chodzi mi tylko o to, panie Gałkowski, żeby pan działał na uspokojenie. Powie pan, że przy panu zabrałem książeczki i nawet nie chciałem gadać z Baczyńskim, tylko odrazu wytoczę mu, no, wie pan! Inspektor, powie pan, jak rumaka dosiadł po waszem wyjściu, odrazu wziął się do rzeczy. I w istocie, wie pan, sprawę tę muszę przepro-

wadzić, tylko rozumie pan, w paradę, w paradę mi wleźli, ot co! Działaj pan, działaj pan na uspokojenie, bo to już, mówię panu, opozycją pachnie! A jak towarzysze przyjdą, no to i pańska karjera się skończy!”

Szybko zebrał papiery w tekę i żegnał się już z Gałkowskim, domawiając te słowa. Gałkowski odprowadził go przez kurytarz, spokojnie mówiąc:

„Ja działałem, Panie Inspektorze, ja zawsze działałem na uspokojenie“.

Tak więc to mniejwięcej wyglądało, gdy Miernik zdobywał się na „inspektorski gest“. Gest z książeczkami i z tą całą „chryją“, jak to nazwał, zdarzył się w pierwszym roku nadzoru Miernika nad fabryką „Szpilka“, coś tak pod koniec trzeciego kwartału w tym pierwszym roku. „Państwowe“ zaś lub „rządowe“, a w istocie rzeczy prywatne powiązania Miernika ze „sferami gospodarczymi“ wogóle, a z Baczyńskim w szczególności, wpływały skutecznie na wyniki takich jego inspektorskich gestów: sprawa oszukiwania robotników przy rozrachunkach, przy skutecznej pomocy Gałkowskiego, ciągnęła się i nie została załatwiona aż do końca urzędowania Miernika w tym ob-

wodzie, to znaczy — jeszcze przez cały rok i kwartał. Była to skądinąd sprawa tak jasna i przejrzysta w istocie przekroczenia i w sposobie ścigania prawnego takich przekroczeń, że byle jaki inspektor umiał w kilka dni załatwić tego rodzaju sprawę, najwyżej zaś mogło to trwać parę tygodni.

Stosunki Miernika z jego bezpośrednią władzą, okręgowym inspektorem pracy (władza inspekcji pracy drugiej instancji, analogicznie do wojewody w służbie ogólnej administracji) były rzeczywiście fatalne. Okręgowy inspektor, Feliks Kostrzewa, należał ongi — przez nieszczęśliwy zbieg wypadków — do owej grupy kolegów, na zakupach których Miernik tak bezceremonjalnie zarabiał w początku państwowości polskiej. Na zasadzie tego odkrycia, Kostrzewa nie żywił zbyt-niego zaufania do etyki Miernika. Poza-tem zbierał sobie informacje o jego metodach urzędowania od kolegów, którym podlegał Miernik w innych okręgach (województwach). Mianowanie Miernika do swego okręgu Kostrzewa traktował jako dopust boży, jako szykanę ze strony władz i niemal od pierwszego miesiąca urzędowania Miernika pod jego komendą

wnosił, prosił i zabiegał o jego odwołanie i przeniesienie. Wkońcu, po paru latach, zabiegi te zakończyły się — zwycięsko dla Kostrzewy — przeniesieniem Miernika do innego województwa. Przeniesienie to — a więc i zamącenie pięknej, nieruchomej tafli w jeziorze ochrony pracy w fabryce „Szpilka“ — nastąpiło zaledwie na miesiąc — półtora przed tragicznym rozwiązaniem konfliktu, który wprowadził imię fabryki „Szpilka“ do historii współczesnych stosunków społecznych w Polsce.

Kostrzewa miał umysłowość innej miary, niż Miernik i był najzupełniej w stanie nietylko pojmować, jak należy wykonywać ochronę pracy, ale nawet potrafiłby wprowadzić właściwe metody sprawowania tej ochrony. Potrafiłby — gdyby nie kolce, piołuny i ciernie, po których kroczyły stosunki okręgów z trzecią instancją — ministerstwem pracy; potrafiłby może nawet i w tych ciężkich warunkach, gdyby nie oportunizm, narastający wraz z wiekiem, brzuszkim, łysiną, rozwojem trosk o „przyszłość“ dzieci, o zabezpieczenie własnej starości; oportunizm, który sprawiał, że Kostrzewa umiał już usprawiedliwiać własną bierność

przed własnym sumieniem za pomocą argumentu „lojalności urzędniczej“. Argument ten wyglądał następująco: moja władza (główny inspektor pracy, minister, rada ministrów, lub też — w równoległych resortach — starosta, wojewoda, znów minister i t. d.) nie idzie w tym a tym kierunku, nie każe załatwiać tak a tak, nie zapobiega; wreszcie — nie widzi, nie chce widzieć, nie chce załatwiać, nie chce zapobiec i t. p. Ja jako urzędnik, przyjmuję rozkaz wyższej władzy (nie iść w tym kierunku, nie widzieć, nie załatwiać, nie zapobiegać, lub odwrotnie) tak jak to brzmi, przyjmuję do wiadomości opinię równoległych resortów (wojewody np.); rozkaz władzy przełożonej wykonuję; opinię równoległego resortu — choćbym uważał ją za mylną, niebezpieczną i t. p. — pozostawiam decyzji jego przełożonych władz. To był właśnie ten oportunizm „lojalności“.

Warunki pracy i poniewierka robotników nietylko nie były Kostrzewie obojętne, ale odczuwał je, a w każdym razie rozumiał bardzo głęboko. Oddawna jednak przestał wierzyć w możliwość wprowadzenia rzetelnej ochrony pracy w fabrykach. Widział dobrze wszystkie sprężyny i po-

tęgi, uniemożliwiająca tę pracę. Nie rozwijał już w sobie energii i oporu młodości (bo młodość przeszła), żeby walczyć o tę ochronę pracy. Nie stał się bynajmniej zwykłym zjadaczem chleba. Czynny na wielu odcinkach społecznych, uruchamiał budowę kolonji mieszkalnych robotniczych, organizował letnie wyjazdy dzieci bezrobotnych, miał tysiąc rozumnych pomysłów i umiał je wykonywać. Najmniej płodnym, najmniej twórczym był ten, naogół płodny i twórczy, człowiek na terenie swej właściwej służby — inspekcji pracy. Trzeba było zresztą znać męczeństwo takiego urzędnika, który chciał naprawdę efektywnie działać i pomagać społeczeństwu (w danym wypadku robotnikom) na swym odcinku służby; udrukę stosunków z własnym ministerstwem, z każdym innym, z innymi urzędami, z przemysłowcami, ze stronnictwami politycznymi i t. d., żeby zrozumieć, że urzędnicy niewątpliwie ideowi i pełni najlepszej woli, jak Kostrzewa, mogli się po kilku, kilkunastu latach wykrzywiać w taką obręcz oportunistów, która się wkońcu zamykała na poniewierce robotnika.

U Miernika Kostrzewa odrazu natra-

fił na bierny opór, na najgorszą formę sabotażu. Miernik pozostawał nieczułym wobec poleceń, krytyki, wreszcie żądań zwierzchnika. Przytaczał tysiąc objekcyj, przeszkód, usprawiedliwień na dowód swej niewinności w stosunku do tego lub innego zaniedbania. Kłamał i wywijał się kontroli, jak piskorz. Kostrzewa zaś, lubiąc żyć dobrze i koleżeńsko z ludźmi, ulegając zresztą prądom oportunistów, był szczęśliwy, gdy mógł się z Miernikiem wyminąć. Przekonał się zresztą prawie odrazu, że usiłowania jego nie zmieniają nic w tym zakorzenionym systemie wykonywania obowiązków, jak uprawiał Miernik. Kostrzewa był bystrej inteligencji, prędko więc doszedł tajemnicy rozgałęzionej sieci stosunków i stosuneczków, jaką rozsunął po mieście Miernik. Zebrał też dość rzeczowych informacji o Baczyńskim, by zrozumieć, że nie byłby to łatwy orzech do zgryzienia nawet dla inspektora pracy, obcego kompromisom i oportunistom. Stosunki osobiste Baczyńskiego sięgały daleko. Grał w brydża. Polował i miał majątek, w którym mogły odbywać się polowania.

To były straszliwe atuty! To też po krótkim okresie otwartych ataków na Miernika w płaszczyźnie służbowej kontroli i rozkazów (sabotowanych), Kostrzewa przerzucił całą zbywającą energję (zbywającą od zbyt wielu zajęć i prac, zresztą przeważnie społecznej natury) na uwolnienie się i uwolnienie swego terenu od Miernika.

Bieżące sprawy musiały być jednak załatwiane. Kostrzewa korzystał z szerokiego zaufania związków zawodowych robotniczych (niezależnie od barw) i stąd dowiedział się jakoś o historii książeczek obrachunkowych w fabryce „Szpilka“. Zresztą wiedział i o innych sprawach, o głośnych w tej fabryce, a swoiście obstawianych, haremach majstrów. Wzywał tedy nieraz Miernika.

„Panie Inspektorze, te książeczki tam u Baczyńskiego muszą być załatwione. Nie pojmuję powodów, dla których pan to przewleka; nie chcę wchodzić w te powody, ani wierzyć rzeczom, które ludzie opowiadają. Wskazuję jednak panu, że to przewleknięcie wygląda dla pana niekorzystnie, co ostatecznie mnie boli mniej, ale i dla inspekcji, co mnie musi boleć. Proszę to załatwić!!“

Miernik wstawał, kłaniał się, patrzyli na siebie nienawidzącymi się oczami. Miernik mówił mu: „Nie ugryziesz!“, a Kostrzewa odpowiadał: „Płaz“ — ale wszystko tylko wzrokiem. Słowami Miernik mówił:

„Ależ załatwię, panie inspektorze, nie mam nic przeciw temu. W przyszłym tygodniu będę miał na to czas“.

Gdy przychodził przyszły tydzień, nie było na miejscu albo Miernika, albo Kostrzewy; przychodził strajk, inne pilne sprawy, zapominało się. Działał wreszcie i oportunizm: uniknąć, odsunąć...

Po paru tygodniach analogiczna, ostrzejsza w wyrazie twarzy i tonie, rozmowa. Ten sam skutek. Znów rozmowa. Ten sam skutek. Tu Kostrzewa już zapowiadał, że sprawę tę poruszy wyżej. Ale nie poruszał, bo w istocie sprawa ta leżała najzupełniej w zakresie jego uprawnień i mógł i musiał umieć załatwić ją własną władzą. Mógłby, gdyby istotnie miał możliwość we własnym zakresie wyciągnąć wszystkie konsekwencje z sabotażowania go przez Miernika. Próbował. Ale wtedy Miernik swoimi drogami pozyskiwał poparcie „miarodajnych

czynników“ i Kostrzewa otrzymywał telefon:

„Panie inspektorze, — dowiaduję się, — bardzo mi przykro — panowie, w odpowiedzialnych czasach, zamiast zgodnym wysiłkiem“ — pauza. „Niechże pan się stara, — przecie w pana możliwości, — przez ciągłą kontrolę, — koleżeński stosunek, — uzyskiwać stałą — choćby powolną — poprawę“.

Kostrzewa kładł rękę na aparacie i uzyskiwał... rozłączenie rozmowy. Robotnicy zaś — mogli czekać...

— — — — —

Ale robotnicy nie czekali już tak długo. Kostrzewa uzyskał wreszcie od swych władz przeniesienie inspektora Miernika do innego okręgu i, przydzielając fabryce „Szpilka“ nowego inspektora, zabrał się wreszcie do porządkowania tam stosunków, a przynajmniej — do rozpoznania się w rozmiarach przekroczeń, krzywd i nieprawości, tak bujnie rozkrzewionych w tej fabryce. Spotkał się już jednak sam w załodze z kompletną niewiarą w jakąkolwiek pomoc inspekcji pracy

i z narastającą żywo postawą walki o własnych siłach: walki o prawa, zagwarantowane przecie autorytetem państwa!

To robotnicy przestawali czekać...

V

POLSKI STRAJK

Podobnie do wody zaskórnej, która występuje niewiadomego dnia na powierzchni, wszystkie nurtujące w zakładzie fabryki „Szpilka“ prądy i nurty fermentu wystąpiły na powierzchni życia fabrycznego w lutym roku 1936. Ujawniły się nagle w oszałamiająco-jaskrawej postaci przewędrowania całej załogi fabrycznej ze związku prorządowego do opozycyjnego, do socjalistów. Zdarzenie to poprzedził fakt dużo mniejszej wagi: przeniesienie inspektora Miernika do innego województwa i zjawienie się w fabryce nowego obwodowego inspektora wraz z okręgowym inspektorem Kostrzewą. Zorganizowaniu się załogi w innym związku towarzyszyły wybory nowego delegata: był to więc koniec delegata Gałkowskiego! Gałkowski był nawet rad z takiego wyjścia, bo grubo gorzej byłoby wypadać z delegatury w wyniku

związkowego śledztwa i ustalenia, być może, pewnych wiadomych rzeczy. Zresztą i śledztwo zakończyło się bardzo nieprzewidzianie dla Gałkowskiego. Wprawdzie ani Nowicki, ani Malczyk nie mogli oczywiście przedstawić żadnego dowodu na piśmie, ale Malczyk wiedział od żony Jackowskiego (która w końcu dojrzała do widzenia się z mężem w więzieniu), że Jackowski siedzi jedynie za doniesieniem Gałkowskiego, a ta sama była przyczyna aresztu Nowickiego. Jackowski zdążył szepnąć to żonie do ucha; po wyjściu zaś dopiero opowie, skąd — szczęśliwym wypadkiem — o tem się dowiedział. Wszystko się sprawdzało, bo i władze związku, Mitek i sekretarz Korzeniowski — szturmując do policji o zwolnienie członka związku Jackowskiego, natrafiały w tej sprawie na dziwną tajemniczość i staranne ukrywanie informatora. Nic nie pomogło, że i Mitek i Korzeniowski ręczyli za Jackowskim, iż nigdy nie był komunistą; nie puszczano go i starano się zmylić ich budzącą się czujność. To też natychmiast po zakończeniu protokołów komisji, sekretarz Korzeniowski oświadczył Gałkowskiemu, że ma się wypisać ze związku i przerwać odrazu wszystkie or-

ganizacyjne kontakty; odebrał mu legitymację i wygotował pismo do centrali ugrupowania, iż Gałkowski przestaje być członkiem związku „dla względów natury etycznej“, jak to określił w piśmie. Gałkowski udawał niewinnie pokrzywdzonego i nawet zlekka stawiał się, zwracając legitymację. Ale ustawicznie spozierał na drzwi w ciągu tej rozmowy, bo bał się zapalczywości Mitka. Nie uniknął jej zresztą, bo tamten znów starannie pilnował jego ostatniej wizyty w związku. Wszedł też przy końcu rozmowy, podszedł wprost do Gałkowskiego i powiedział krótko:

„Wstań Judaszu. Broń się! To masz za zdradę!“ i wyrznął go tak w twarz pięścią, że Gałkowski zwałił się nawznak, zalewając się krwią. Korzeniowski zachnął się, chwycił Mitka za ręce i krzywiąc się, zawołał:

„Dowodów, Jaś, nie masz! jak możesz zabijać!“

Mitek obtarł rękę chustką, obejrzał się na zemdlonego na podłodze i powiedział spokojnie:

„Nie zabijałem ścierwa. Bardzo nawet słabo pouczyłem go. Też masz się czem przejmować!“ i wyszedł z pokoju. Wtedy

Korzeniowski ze wstrętem zbliżył się do Gałkowskiego i z karafki wylał mu ciurkiem na twarz dużo ciepłej wody. Gałkowski usiadł natychmiast, więc chyba przytomności nie tracił: był to tylko zręczny manewr ochronny przed wściekłością Mitka. Wtedy Korzeniowski dał mu ręcznik z szafy, kazał mu piorunem się umyć i wiać!

„Żebyś tu cię więcej nie oglądał; i w twoim to własnym interesie jest zwijać się!!“

Istotnie, Gałkowski nabrał tak błyskawicznej szybkości, że nie upłynęły dwie minuty, jak nie było go już w lokalu; wybiegł, zakrywając twarz chustką od nosa. Był to jego ostatni popis w związku. W fabryce już od kilku dni nie bywał; od chwili, gdy spadł z delegactwa, bał się już tam przychodzić. Jak bronić się było dłużej przed głośnem omawianiem wyników śledztwa? Meldował się też w urzędzie, prosząc o ochronę: kazano mu troszczyć się samemu o siebie, zmienić mieszkanie, wyjechać, skoro się bał, z miasta. Nie mógł już być na tym terenie potrzebnym, gdyż został tak czy inaczej rozkonspirowany; mógł tylko już szkodzić.

Delegatem fabryki został Władek Mal-

czyk. W nowym związku, gdy zreferował w szczegółach położenie robotników w fabryce, działania dyrekcji, majstrów, bezczynność i krętaćwo inspektora pracy, postanowiono, że musi natychmiast rozpocząć energiczną akcję ofensywy, gdyż fabryka należy do mocno zabagnionych. Pracował tedy przez szereg wieczorów w związku nad sformułowaniem żądań, jakie miał przedstawić dyrekcji. Odrzucono zupełnie ewentualność zwrócenia się o pośrednictwo do inspekcji pracy. Zbyt długo robotnicy obserwowali działalność inspektora Miernika i utracili wszelkie zaufanie do całego urzędu, jakkolwiek nowy inspektor na zlecenie okręgowego inspektora wdroył już naprawdę dochodzenie karne w sprawie nieprawidłowego obliczania robotników przy zapłatach. Nie mogli już wierzyć żadnemu. Postanowiono więc bez pośrednictwa inspekcji rozpocząć akcję.

Genka wstępowała codziennie po męża do nowego związku. Siedziała cichutko pod ścianą w sąsiednim pokoju i wyczekiwała cierpliwie, aż skończył swoją pracę. Gdy zaś wychodził — taki inny niż dawniej, nieponury, z płonącymi oczami, z energicznym ruchem rąk, zbliżała się

do niego, radosna i dumna i wychodzili razem. Na schodach brał ją pod brodę i zaglądał w oczy.

„Dobrze jest, będziemy się teraz bronili!“ — mówił. „Taki idzie czas, że się każdy związek podciągnie; tamten dawny nasz, po wywaleniu Gałkowskiego, pójdzie teraz też rzetelnie razem z nami, jak wytną sobie te wrzody“.

Szli do domu, do maluteńkiego, wspólnego mieszkania. Byli bardzo szczęśliwi. Przejście z majstrem samej Gence wydawało się teraz niebyłym.

W dyrekcji Malczyk jako delegat, pierwszą rozmowę miał tylko z Pańkowiczem. Chciał odrazu mówić z samym Baczyńskim, ale ten rzadko „na takie głupstwa“ miał czas. Natomiast o rozmowie Pańkowicza z delegatem Baczyński dowiedział się tegoż dnia, gdyż istotnie wszystkie najczarniejsze przewidywania Pańkowicza co do zmiany nastrojów w załodze okazały się słuszne. Malczyk zgłosił imieniem załogi żądania: 1) podwyżki płac, 2) rzetelnego obliczania przy wypłatach, 3) usunięcia majstra Zielnika i portjera Zielaka, 4) zwolnienia z fabryki byłego delegata Gałkowskiego, który wprawdzie już „zachorował“, ale był jeszcze

robotnikiem fabryki. Wszystko to krótko, bez komentarzy, wyrecytował Pańkowicz Baczyńskiemu przez telefon, a od siebie dodał tylko:

„Pan Prezes wybaczy, bo ma mnie Pan Prezes za pesymistę, ale zdaje mi się, że oni nie ustąpią! Pójdą na całego!“

Baczyński odciął się tylko przez telefon:

„Zobaczmy panie, zobaczmy! Niech mi pan tylko w kantorze nie rozsiewa tej swojej“... — zawahał się — „aha, kiereńszczyzny! właśnie kiereńszczyzny!! Nie mamy jeszcze rady delegatów, żeby tak odrazu pasować przed motłochem! Mam jeszcze urzędy, mam jeszcze swoje stosunki! Zobaczmy, kto mocniejszy!“

Pańkowicz położył uszy po sobie i milczał. Przecie „kiereńszczyzna“ mogła go kosztować wymówienie posady. Tem naprawdę nie mógł ryzykować!

Ale za pięć minut poderwał go od biurka wściekły głos szefa.

„Panie!“ — krzyczał — „co to u cholery, znowa, czy co? Dzwonię do Miernika, nie spotykałem go od paru tygodni, wyjeżdżał, a teraz niema go, ale to wcale niema już w mieście!!! Mieszkanie nie od-

powiada, godzina czwarta, co się dzieje!
Szukaj go pan!”

Pańkowicz uczył skryte, wewnętrznie zadowolenie:

„Myślałem, że Pan Prezes wie; przecie pan Miernik tu wstępował się żegnać, Pan Prezes miał się z nim widzieć. Pan Miernik przecie już tu nie urzęduje, został na przedstawienie pana Kostrzewy odwołany i przeniesiony do innego okręgu“.

W telefonie słyhać było tylko sapanie. Po chwili Baczyński począł znów krzyczeć:

„To pan to ma sobie za nic? Takie to faramuszki dla pana, że go tracimy z terenu?! Nie orjentuje się pan chyba, że to skarb, nieoceniony skarb dla nas, inspektor pracy, który życiowo traktuje to wszystko, uwzględnia trudności placówki, racje gospodarze“...

Pańkowicz wpadł w pauzę, żeby oświadczyć aksamitnym głosem:

„Ależ, Panie Prezisie, ja to bardzo dobrze doceniam... Pracuję z Panem Prezesem, a i z panem Miernikiem całe lata. — Właśnie moja ocena sytuacji w fabryce wiązała się“... Nastąpiło rozłączenie. Odłożył więc słuchawkę, żeby za chwilę

znów podnieść ją do ucha. Baczyński cicho, jakoś dziwnie chrypliwie, zgrzytał przez telefon:

„No, musiałem rozłączyć, żeby nie powiedzieć panu brzydkich słów!!! Naprawdę, w tak przykrew chwili, pan doprowadza mnie do pasji swojemi analizami! Co pan, socjolog czy filozof, u ciężkiej cholery! Wiązało się panu! proszę!! Tak samo tam wiązało się wszystko w tej kiereńszczyźnie, aż zawiązało im na własnej szyi! Proszę pana! Musimy się ratować, ten Malczyk, to przecie kat, to oprawca, widziałem go kiedyś zdaleka — ponury, wściekły drab! Że też ten Gałkowski upadł, cóż to za święty człowiek był razem ze wszystkimi swemi pretensjami! Teraz to już naprawdę nie pojmuję, żem nie miał dość względów i ustępliwości dla takiego, jak Gałkowski, delegata! Trzeba było im wtedy te wypłaty wyregulować, no, doprawdy, taki błąd!“

„Pytałem, Panie Prezesie, Pan nie kazał“...

„Hu-u-u. Pytał pan!!! Ależ z pana słodki charakter!!! Krew mnie chyba zaleje... Panie Zygmuncie kochany, no dzwoń pan do tego Kostrzewy, czy innej cholery, jaka tam się dziś wygłupiać będzie nad na-

mi! Ja do nich dzwonić nie będę! Kostrzewa był dawniej na lewicy; wiem, zbierałem kiedyś od naszych ludzi informacje! Do Naczelnika Państwa z delegacjami małorolnych chodził w 1919 roku! o reformę rolną! Sztandary czerwone po zamkach wywieszał! Ja takich rzeczy nie daruję! Nie zapominam! Chodź pan, zakrzążnij się pan, panie kochany, bo naprawdę ścięty jestem z nóg tym Miernikiem i tem wszystkim... Zresztą, mam dziś pilne sprawy. Nie mam dziś ani czasu, ani zdrowia na fabrykę. A tu trzeba zapobiec, panie, odrazu zapobiec, bo inaczej może być zupełna klapa! Brakowało nam jeszcze strajku!!“

Pańkowicz sądził, że rozmowa skończona i żegnał się, bo przecie musiał jeszcze złapać przy telefonie inspektorów—urzędowanie kończyło się. Ale prezes miał jeszcze coś do powiedzenia.

„Panie! w dzień i w nocy proszę o wieści! W ostateczności będę błagał wojewodę o ratunek! Ale to w ostateczności, pan rozumie, nadużywać nie mogę! — A teraz niech pan działa, łagodź! grozi! ostrzega, tak, jak tam lepiej wypadnie... Słowem, zapobiega pan!... A ja pana

przepraszam za niegrzeczność, ale wie pan ...

„Ależ nic nie szkodzi, Panie Prezesie. Moje uszanowanie“ ...

Z inspekcją tego dnia nie udało się już rozmówić, bo właściwy, obwodowy inspektor był na wizytacji, a okręgowy inspektor Kostrzewa od rana lustrował w powiecie roboty Funduszu Pracy.

Dopiero następnego dnia, z samego rana, Pańkowicz złapał Kostrzewę przy telefonie. Kostrzewa wysłuchał go i udzielił mu kilka praktycznych wskazówek.

„Cóż tam, odrazu pietracie się tak, panowie? Może to i dobrze, bo wreszcie może zastanę pana Baczyńskiego w fabryce, jak będę miał czas wstąpić. Są żądania, i co? odrzuciliście? prosicie o pośrednictwo?“

— Nie, panie inspektorze, pan Baczyński jeszcze dotąd nie przyjął delegata, więc żądań oficjalnie jeszcze nie przedstawiono. Tylko nowy delegat zapowiedział mi, że będą dziś zgłoszone takie żądania.“

Inspektor pracy zaśmiał się.

„Cóż to, panowie, piętnaście lat spaliście? Nie umie pan sobie radzić? Pan Baczyński musi przyjąć delegata i — jeżeli

sam rządzi — uwzględnić albo odrzucić żądania. — Ja radzę uwzględnić, bo sobie wyobrażam, co to może być: podwyżka, no, macie płace daleko niższe, niż przeciętne w tej branży; co tam jeszcze? aha! prawidłowe obliczanie, no to macie już z nami o to sprawę. Radzę więc uwzględnić... A jeżeli pan Baczyński sam nie rozstrzyga, no to zbiera ciało kompetentne i” ...

Pańkowicz przerwał: „Pan Prezes zupełnie sam może rozstrzygać”. — „Więc sprawa bardzo prosta! Przedewszystkiem przyjąć delegata i postarać się uzyskać z nim porozumienie! I o taką rzecz pan dzwoni mi wczoraj przez cały dzień do domu i do wszystkich miejsc możliwych i niemożliwych! Nic tu takiego niema w tej chwili dla mnie do rozważania. Najlepiej załagodzić robotników, bo pretensje ich są słuszne i każdy urząd im to przyzna. Dowidzenia panu.”

Kostrzewa śpieszył się, bo na biurku dzwoniło już jedno z miast, budowa Domu Dziecka. Musiał wszędzie nastarczyć.

Ale przed wyjściem z biura zapytał jeszcze w sekretarjacie:

„Czy nowy delegat fabryki „Szpilka” nie zgłaszał się jeszcze do obwodu? Pro-

szę mi oddać słuchawkę. Panie inspektorze, nie wiecie nic o fabryce Szpilka? Tam zatarg, już sformułowali żądania. Dzwonili do mnie z dyrekcji. Nic pan nie wie? Robotnicy się nie zgłaszają? To źle... No, to są owoce... No więc niech pan czeka, ale niech pan trzyma rękę na pulsie. Jak tylko która strona się zwróci o pomoc, brać tę sprawę.”

Baczyński, ciskając się i złorzeczając, usłuchał rady Kostrzewy i przyjął Malczyka przed południem, w biurze. Nie podał mu ręki i stał w środku pokoju, przeglądając wypisane na kartce papieru żądania. Postanowił panować nad sobą i być jaknajwzględniejszym dla robotników: „nie wywoływać wilka z lasu” — prosił Pańkowicz. Ale Baczyński od początku czuł, że pasja dławi go w gardle. Odłożył kartkę na mały stolik przy ścianie i poszedł wziąć sobie z pudełka cygaro. Malczyk zapytał go wtedy spokojnie:

„Jak pan dyrektor sądzi? będzie do uwzględnienia?” Ta prosta, mało ceremonialna, a jednak wytworna w swej prostocie forma zwrotu, rzuciła Baczyńskiemu do głowy całą rozporządzalną krew. Malczyk przyglądał się mu jakby

zdziwiony. Jednak Baczyński opanował się.

„Powie wam“ — wymówił nieco stłumionym głosem — „co myślę! To jest bolszewizm! Rządzić fabryką wam się zachciewa!! Majster, portjer, usuwać robotników?! Gałkowskiego, własnego przedstawiciela!!! Cóż, może tedy zechcecie płacić moje bankowe i inne zobowiązania, gwarantować wykonanie obstalunków? Co, panie... Malczyk?“

Zastanowił się nagle: — „Malczyk? to pseudonim, jak tam, pioniera?! czy nazwisko?“

Malczyk stał niewzruszony, on też obiecał sobie wielkie panowanie: nie uronić powagi delegata. Uśmiechnął się tylko nieznacznie w odpowiedzi na ostatnie słowa.

„Interesuje to pana dyrektora? Nie, to nie żaden pseudonim, to polskie nazwisko. Jestem spod Przemyśla. A fabryką rządzić nie zgłaszamy w tych żądaniach. Majster ten i portjer fabryce chluby nie przynoszą, bo to musi pan dyrektor wiedzieć, że założyli tu sobie burdel, tylko, że dziewczęta tu nic niewinne i nic za to nawet nie dostają. To znaczy, owszem: dostaje paczkę firmowej włóczki i ma

prawo przez tydzień spóźnić się do pracy o pół godziny, to już nie wiem, na koszt firmy, czy opiekuna! Na to mam zeznania robotnic zebrane. Więc czy to bolszewizm, panie dyrektorze, że takiego majstra nie chcemy?“

Baczyński palił i pykał wściekle cygaro.

„Ani jednemu słowu nie wierzę! Same dziewczki lecą na Zielnika, bo morus jest i wagę ma. A zresztą, jakby nie chciały, to coby im zrobił? Proszę? ha?“. Patrzył tryumfująco to na Malczyka, to na bladego Pańkowicza. Na to Malczyk odpowiedział znów bardzo spokojnie:

„To jest mus, panie dyrektorze. A jak odmówi, to za bramę! Przecie w majstrów to ręku. Dziewczęta przychodzą z domu prosić o przyjęcie do pracy, czasem nawet i rodzice proszą razem. To jest tak zorganizowane u nich, że portjer odsortowuje lepsze, brzydkie pędzi precz, ale i lepsza dostanie się do pracy tylko wtedy, jak majstrowi powolna.. pod tym względem“...

Baczyński niespodziewanie wybuchnął głośnym, nerwowym śmiechem. Nie chciał tego; tak się jednak wyładowało napięcie nerwowe, opanowywana pasja

i mitygowana, ale żywa, chęć dokuczenia delegatowi.

„A to byłby dopiero numer!“ — wyksztusił w tym śmiechu — „musi pan, przecie i pan jest mężczyzną! przyznać, że to musi być wprost na podziw morus, ten Zielnik! Nie, nie,“ — powściągnął się nagle — „ja tego wcale, całej tej organizacji nie znałem, no i sądzę, że tu dużo przesady! Wreszcie“ — był już całkiem opanowany i oglądał właśnie politurę na paznokciach — „zrobię mu, owszem, uwagę, ale prawa do rządzenia się, wydalenia, wyznaczania, to nie przyznam panom i stoję przy tem, że to — to już wszystko są wschodnie wpływy! panie!!!“

Wrócił do kartki z żądaniami i znów cały się rozczzerwienił:

„Podwyżka, co u licha?! To niszczyć chyba chcecie warsztat pracy! w takim czasie! Odrzucam, stanowczo i bez gadania, nawet niema mowy! odrzucam wszystkie żądania! Uwzględnię tylko co do tych akuratszych obliczeń przy wypłatach. A te inne, to szkoda gadać, panie Malczyk, musicie poniechać!“

Patrzyli na siebie, Baczyński zadowo-

lony, że tak pokojowo kończy z robotnikami, że zdobył się na tyle opanowania; Pańkowicz — w strachu, co z tego wyniknie, i Malczyk — niezmiennie, niewzruszenie spokojny. Tylko wybuch nagłej wesołości fabrykanta, gdy opowiedział mu o poniewierce dziewcząt w fabryce, na sekundę naruszył jego wewnętrzną równowagę, w sposób zresztą bardzo mało widoczny. Drgnęły mu tylko zleka brwi, poróżnowiały wpadłe, smagłe policzki, zmrużyły się oczy, siwe, twarde w wyrazie. Ale trwało to tylko sekundę. Wysłuchał spokojnie do końca i rzekł, odbierając kartkę z rąk Baczyńskiego:

„To też szkoda gadać, panie dyrektorze, bo wszystkie nasze żądania to są razem, albo żadne. A my od żadnego nie odstepimy.“

Skłonił się i wyszedł. Baczyński latał po pokoju, mocno zakłopotany.

„Jak pan myśli, czy poważą się na strajk? Tyle kobiet, robotnicy przeważnie wiejscy...“

Pańkowicz odpowiedział z pewną godnością:

„Może to i kiereńszczyzna, Panie Prezesie, ale zbyt długo łudziliśmy się i co do ich słabości, i co do naszej przewagi. To

znaczy było tak, ale już tak nie jest. I skoro on ma na wszystko dokumenty, to wygrają i w inspekcji pracy!“.

Natychmiast po rozmowie z dyrektorem, w przerwie obiadowej, Malczyk zatrzymał wszystkich w podwórzu i zdecydowano ogłosić strajk. Zielnika, który pierwszy rozeznał się w sytuacji i pędził do kantoru uprzedzić, co się dzieje, Malczyk pochwycił w drodze i przytrzymał łagodnie, ale stanowczo za rękę.

„Nie radzę się śpieszyć, panie majstrze, bo niema po co. Za małą chwilę będziecie panowie mieli tu czasu garściami!“

Musiał też Zielnik, choć zbladły, stać spokojnie przy Malczykowi w podwórzu, bo Malczyk był silny i dobrze nań uważał. Zresztą naokoło byli sami robotnicy i ogólna temperatura nie sprzyjała rozwijaniu majstrowskiej energii. W ciągu dziesięciu minut zebranie zostało zakończone i robotnicy rozeszli się po fabryce zając ją aż do uwzględnienia ich żądań.

Tak tedy rozpoczął się polski strajk, strajk okupacyjny w fabryce „Szpilka“.

W kantorze zapanował popłoch, Baczyński już był odjechał, ale Pańkiewicz telefonował i powiadomił go. Baczyński oświadczył, że nie zjawi się do fabryki,

póki robotnicy ją okupują; nie może narażać życia, ma żonę i dziecko. Malczyk jest oprawcą, pastwił się nad nim już w czasie rozmowy. Całość załogi — to wredny, głupi motłoch, udawali tyle czasu prorządowców; przecie ścisnął ich brudne, choleryczne grabie na różnych akademjach. Niech to djabli! Zosia była zawsze mądrzejsza, bo nie dawała się nigdy zwieść ani nabrać motłochowi i zachowała dla nich określenie, związę i wdzięczne, importowane z kochanych kresów ukraińskich: „hadiuki“. Wprawdzie tam dziedzice i ich rządcy stosowali je do wsi, do chłopów ukraińskich, ale pani Zosia uważała, że to się doskonale dopasowuje również do polskiego ludu i to bez różnicy — chłopca czy robotnika w mieście. Hadiuki. To było trafne! „Hadiuki!“ — wykrzyknął Baczyński w telefon, wpadając na to pyszne określenie.

„Nie przyjadę! zamykaj pan kantor, powiadom wszystkich, zamykamy! niech strajkują! Dzień — dwa posiedzą głodni, i pójdą po rozum do głowy. A gdyby nie, no to już ja się zakrzętnę! Od czego ta inspekcja!“

Ale Pańkiewicz już wszędzie zdążył

dzwonić. Robotnicy nie zwracali się wcale do inspekcji i strajk zapadł bez wyzyskania tej drogi. Zresztą i dyrekcja — wobec stanowiska Baczyńskiego — na tę drogę nie weszła. Można było i z tej strony zwrócić się do inspekcji, Pańkowicz pamiętał cały czas o tem, ale Baczyński powiedział mu już kilka razy, że Miernika niema, a z tamtym pyszałkiem nie będzie sobie psuł trawienia.

Kantor zamknięto, majstrowie opuścili fabrykę, zostali sami robotnicy. I wtedy portjer, odrazu się zmieniając, zwrócił się do strajkujących z propozycją przeciwstawienia ich podczas strajku. Stawiał wcale skromne warunki. Gdy zaś po krótkim czasie rodziny wiedziały już o strajku i zaczęło się donoszenie żywności, portjer, jak poprzednio po majstra Zielnika, telefonował teraz z portjerni po tego lub innego robotnika, żeby sobie zabrał swoje jedzenie i zobaczył się z żoną, lub córką. Od portjera też wyszedł wniosek, żeby strajkujący obrali sobie dyżurnych dla tych posług, gdyż policjant nie pozwalał rodzinom gromadzić się pod fabryką. Kontakty więc skróciły się wnet do samego tylko oddawania portjerowi paczki. Malczyk otrzymał od załogi

dwóch pomocników i krążyli pomiędzy portjernią a załogą, donosząc żywność i niekiedy skąpe wieści. W takich jednostajnych warunkach ubiegło parę dni. Nie słychać było o żadnej zmianie; z dyrekcji nie zwracał się nikt. Zanosilo się na zwykłą walkę: która strona wytrzyma dłużej?

Robotnicy byli pewni swej słuszności i strajk ten przechodził moralnie w okolicznościach naprawdę krzepiących ducha. Załoga, dotąd niezwarda, rozbijana przez posunięcia Gałkowskiego i dyrekcji, dopiero w tej pierwszej zbiorowej akcji doznawała wspólnoty i nabierała tężyzny. W nocy podzielono się między dwie połowy fabryki: jedną zajmowali mężczyźni, drugą — kobiety. Załedwie kilkanaście par, już złączonych lub sympatyzujących ze sobą i teraz zbliżonych przez wspólną walkę, układało się do snu razem, wybierając zaciszniejszy zakątek. W dzień natomiast byli ciągle wszyscy razem i więź braterstwa, koleżeństwa narastała między nimi prosto z godziny na godzinę. Malczyk, pozbawiony swej Geni, która porzuciła pracę po przejściu z Zielnikiem, oddawał całą

swoją młodą energję sprawie publicznej — podtrzymywaniu ducha towarzyszy i towarzyszek, omawianiu z nimi wspólnych bolączek fabrycznych i ogólnych robotniczych. W ciągu też paru dni z delegata, z którym sympatyzował ogół, urósł wśród nich do potęgi nie wodza (bo te kompleksy obce są środowisku robotniczemu), a najukochańszego człowieka. Nie było skargi i krzywdy ludzkiej, którejby w tych dniach nie wysłuchał i nawet nie zanotował. Spełniał to wszystko z dużą, nad wiek, powagą i tak jakby w głębokiem przeświadczeniu, że cały ten, bardzo obfity i jaskrawy materiał poniewierki i nędzy robotniczej będzie komuś potrzebny. Chodził też z kartkami, karteluszkami, które rozkładał sobie po kieszeniach; można go było zawsze widzieć, jak przystawał przy tej lub innej grupie kobiet czy mężczyzn i wysłuchiwał i notował bez końca.

Ogromny krok naprzód w zżyciu się, zbliżeniu, ujednostajnieniu dokonał się w związku z zupełnie jednolitą oceną byłego delegata Gałkowskiego. Teraz dowiedzieli się wszyscy, kim był ten człowiek i jak pracował na dwa fronty. Jac-

kowski wciąż siedział jeszcze w więzieniu i gmatwano mu sprawę, ale dawno już prawie wszyscy robotnicy — chyba za wyjątkiem małych dziewcząt — rozpoznali się w nieszczerzej służbie delegackiej Gałkowskiego.

„Toż to była taka robota, żeby z miejsca nie ruszyć!“ — mówili — „obiecował i załagadzał i przewlekał, a jak widział podejrzenie, to wtedy się zaraz brał niby energicznie do czyjejs sprawy, by wnet potem ją zostawić, jak tylko ten go z oka na chwilę spuścił. Taki to był i delegat“.

Samorzutnie powstało też w tych rozmyślaniach porównanie delegackiej roboty Gałkowskiego do inspektorskiej Miernika. Nie to, żeby podejrzewano inspektora o tego rodzaju kanalijskość, w jakiej żył Gałkowski, nie, robotnicy nie byli wcale pohopni do budowania tak krzywdzących, a nieuzasadnionych podejrzeń, ale oceniano wyniki inspektorowania Miernika tak, jak wyniki delegactwa Gałkowskiego. Wreszcie jedna z młodych robotnic znalazła właściwe określenie i dla Miernika.

„No widzicie, on robił też stale na dwa fronty!“ — powiedziała. — „Bo tak. Z u-

rzędu, z pomysłu tych ustaw i wogóle państwa, jak się ono tworzyło wtedy po wojnie, to taki inspektor musiał być niby urzędowym zastępcą robotników. W każdym razie dla robotników był ten urząd wyznaczony. To więc zawsze byłby jego obowiązek. A ten Miernik prócz tego, że bardzo licho nas bronił, to jeszcze więcej chronił fabrykanta, bo dawał posłuch na każde żądanie, darowywał mu wszelkie zaniedbania, choćby i prawne. I wszystkie nasze krzywdy, choćby najprostsze — to tak przewlekał, tak maglował, tak mitreżył jak i tamten szpicel!”

Malczyk przysłuchiwał się temu i tak sobie myślał, że wielką zdobyczą jest dojść już do tak jasnego widzenia rzeczy.

Tak więc wzrastała i krzepła ich wspólnota — z rozpamiętywania wspólnych krzywd, z uprzytomnienia sobie dokładnie różnych przeszkód, różnych przeciwdziałań, jakie wyrastają na twardej drodze ich pracy i życia. Nie było też żadnej różnicy między nimi w tem, że zgodnie uważali za największe nieszczęście rozbicie sił klasy robotniczej, namnożenie się wielu związków, potrzebnych często organizatorom do celów osobi-

stych, lub też dla osłabienia potęgi robotczej.

„Nie zmarnujemy tych dni tutaj” — mówiły kobiety, — „za trzy lata należenia do związku tyle nie zrozumiałam naszych spraw, co tu za te trzy noce”.

VI

TA NOC...

Podczas gdy robotnicy fabryki „Szpilka“ strajkowali, w niektórych urzędach powstało zaniepokojenie. W formie krótkiej syntezy błęd i cała dramatyczność położenia wynikała stąd, że podczas gdy we właściwym urzędzie ochrony pracy (inspekcji pracy) zainteresowanie faktem strajku okupacyjnego w fabryce „Szpilka“ było o wiele za słabe, za bardzo akademickie, w urzędzie pośrednio tylko stykającym się ze zjawiskiem pracy ludzkiej, poprzez bezpieczeństwo, zajęto się tem zbyt gorąco i pod zupełnie niewłaściwym kątem widzenia.

Strajki okupacyjne w Polsce mnożyły się już od czterech lat i w pierwszych dwóch latach, gdy na tle kryzysu rozkwitało bujnie łamistrajkostwo — stawały się jedyną możliwą formą obrony żądań ekonomicznych i walki o poprawę warunków pracy. Ze strajku normalne-

go, zwykłego, bez okupowania fabryki, fabrykant mógł sobie śmiało kpić, gdyż zazwyczaj nazajutrz potrafił uruchomić fabrykę przy nowej pełnej obsadzie z wczorajszych bezrobotnych. Ale w miarę przedłużania się kryzysu całe zjawisko mocno się zmieniało. Ponad chęć i konieczność walki o poprawę aktualnych warunków pracy, okupujący fabrykę robotnicy bywali zmuszeni wydzwignąć bohaterską walkę o istnienie samego warsztatu pracy. Bywał on bowiem przeznaczany przez kapitalistę (spółkę) do zgaszenia powodu zmniejszonych zysków lub też powodu międzynarodowej solidarności kapitału, gdy np. spółka kazała tu gasić, otwierając po drugiej stronie granicy (sprawy śląskie i zagłębiowskie), powodu więc międzynarodowych interesów pochodzących od faszystowskiego. Ten dla własnych politycznych celów potrzebował pozornych dowodów wobec mas, że tam gdzie już panuje bezkompromisowy faszyzm, bez żadnych fartuszków wstydlivosti (np. w Trzeciej Rzeszy), tam można pełnemi garściami mieć pracę. Otóż ta walka robotników w ustroju kapitalistycznym w obronie warsztatów pracy przeciw chęci ich właścicieli, wal-

ka, płonąca epopejami tej miary jak „Klimontów“, „Szczęście Luizy“ i tyle innych, ta walka stała się zrozumiałą i bliską całemu nieposiadającemu społeczeństwu i w jej ogniu tajać zaczęły szeregi łami-strajków. Tak też się stało, że w owym drugim dwuleciu polskich strajków strajki te nie miały już tego ograniczonego znaczenia, jakie w wywiadzie swym przyznał im kierownik polskiej inspekcji pracy (pogląd spóźniony o całe dwa lata); urastały natomiast do znamion walki, prowadzonej przez proletarijat już z samą istotą złego ustroju; walki, kwestjonującej prawo właściciela do swobodnego rozporządzenia swym warsztatem pracy, mianowicie — rozporządzania ku krzywdzie społeczeństwa. Tamten pierwotny cel — zagrodzenia drogi łami-strajkom-bezrobotnym w nowych warunkach niesłychanie szybkiej odbudowy solidarności robotniczej przestawał już być w przeważającej ilości wypadków aktualny: w wielkich ośrodkach przemysłu polskiego wszystkie niemal strajki w ostatnim roku były wygrywane przez robotników, gdyż fabrykant nie znajdował już chętnych do łamania akcji strajkowej.

W interesującym nas województwie strajki okupacyjne nie były też żadną nowością i statystyka inspekcji pracy nie notowała tu żadnych w związku z tem konfliktów i ofiar, z wyjątkiem jednego wypadku, gdzie całkowitą odpowiedzialność za postradanie życia przez kilku robotników ponosiły centralne, nie zaś miejscowe władze. Siedzący od lat na tym terenie wojewoda, zapewne „niemodny“, człowiek raczej starodawnej daty, posiadał głęboką uczciwość społeczną, pojmował konieczność walki robotników o poprawę warunków ich pracy i niewątpliwie nawet współczuł tej walce w głębi swego serca. Zewnętrzny wynik takiego ustosunkowania się do zjawisk pracy wyrażał się w polityce pokojowego załatwiania wszelkich zatargów, nie wpuszczania na ten teren pobocznych politycznych rozgrywek. Strajki okupacyjne, trwające nawet po kilka tygodni, traktowano jako walkę pomiędzy dwiema stronami i władze — jeżeli wkraczały — to w charakterze pośrednika, pragnącego pomóc przy załatwianiu konfliktu i przyczynić się choć w małej mierze do poprawy bytu pracujących. Wraz ze zmianą wojewody ta długo pielęgnowana polity-

ka uległa załamaniu. Wprawdzie bezpośrednio ingerencji pozostawała zasadniczo w rękach inspektora pracy, ale Kostrzewa wyczuł odrazu odmienną linię władz administracji ogólnej i ulegając oportunistom — mógł wypuścić ze swych rąk w tym wypadku wszelkie cugle, jak to właśnie miało miejsce w tym wypadku.

Gdy robotnicy fabryki „Szpilka“ rozpoczęli czwarty dzień swego strajku, wojewoda został w najmilszej chwili beztroskich kroków tanecznych (z towarzyszeniem umiejętnych przyciskań pani Zosi) zaatakowany przez uroczą tancerkę od strony problemu tego strajku. Zrobiła to tak.

„Ach ten taniec dziś, panie wojewodo, był już mi poprostu psychicznie konieczny!... Kojąco działa... Przez cały dzień ma się tyle strasznych przykrości, to okropne zdenerwowanie mego męża, cały ten tam **polski strajk** u nas!“ Wojewoda roześmiał się:

„Znalazła też pani czem się denerwować! Cóż pani ma tam do takich głupstw! Mała rzecz!“

Taniec skończył się i odeszli do stolika, który zajmowali tego dnia we dwójkę.

Pani Zosia uważała za niewskazane prowadzić dalej rozmowę. Ale w pauzie między tańcami niespodziewanie dla pani Zosi, aż krzyknęła! wszedł na salę jej mąż.

„Bronek!!! Co ty? Czy pan wojewoda pozwoli?”

Oczywiście pan wojewoda pozwolił Baczyńskiemu się przysiąc. Nawet zapytał go sam:

„No cóż tam, strajkuje pan? Czemu pan nie kończy?”

„Niestety, panie wojewodo, to się całkiem wymknęło z naszych rąk“. Baczyński miał przytem minę tak zdemolowaną, jakby przeszła po niej spacerem cała strajkująca załoga. Wojewoda zmarszczył nos. Okropnie nie lubił tragedij wogóle, rozmiękłych ludzi, a w szczególności gdy mu przeszkadzano odetchnąć chwilę po pracy urzędowej. Powiedział też dość kwaśno:

„No, nie umie, pan sobie radzić!! Robotnicy u nas nie chcą nic innego, jak pracować i jeść. Przytem muszą należeć przecie do związków, czyż nie ma pan tam Korzeniowskiego, Mitka i t. d., żeby z nimi pogadali, i z panem, i zakończyć ten interes!”

Baczyński ożywił się.

„Ależ panie wojewodo, czyż ci ludzie utrzymają co w ręku?! Przecie oni tylko to robią, że się przelicytowują z czerwonymi! Zresztą moi robotnicy przed strajkiem wszyscy przeszli do opozycji! Ale owszem, dzwoniłem dziś, mówiłem z Mitekkiem, prosiłem go żeby wpłynął, bo przecie tak z dnia na dzień nie stracili wszystkich swoich wpływów u mnie; pełno tam mają strzelców i pewiaków. To wie pan wojewodo, co mi ten Mitek powiedział?! Że zbieram owoce własnego postępowania z robotnikami w mej fabryce i że nie takie jeszcze powinienem mieć przykrości za wszystko, co się tam im krzywdy działo!! Rzuciłem słuchawkę, bo doprawdy; no, wiem, to zasłużony człowiek! nie chciałem nagadać mu ostatnich głupstw!”

Wojewoda nie rozchmurzał twarzy, bo rozmowa irytowała go, a przytem grali już do tańca.

„Mitek to legjonista, podoficer i prozadowiec. Musiał pan mu czemś dopiec. No więc likwiduj pan ten cały strajk z kim chcesz; masz pan przecie inspektora pracy!”

Baczyński zdobył się na odwagę.

„Panie wojewodo, wiem, że to nietakt, zajmować tem pana wojewody drogocenny wolny czas. Ale czy mogę prosić o posłuchanie jutro zrana w biurze? Mam pewną prośbę, a okoliczności tam u mnie... Bo to panie wojewodo, niby to mój prywatny interes, ale tuszę, że tu i państwo może się uczuć zainteresowane“.

Wojewoda nie lubił żadnego, ale to nawet cienia, najdelikatniejszego pouczenia: jakby sam mógł czegoś nie dostrzeżać lub nie ułoić we właściwym czasie. Odpowiedział też szorstko, jednocześnie prosząc już panią Zosię do tańca:

„Służę panu, tak koło jedenastej. Nie widzę tu wprawdzie nic szczególnego, znam to wszystko na pamięć i lepiej od każdego z panów. Bywaliśmy we wszystkich ruchach społecznych! Do widzenia.“

Baczyński bał się, że się mu naraził natręctwem i wychodząc, posłał błagalne spojrzenie żonie. Wojewoda zapominał już o niemiłej rozmowie, kołysząc się w takt przecudnej melodji słow-foksa i zajęty upasowywaniem piersi i brzuchów do siebie wzajem i do taktu. Pani Zosia taktownie wyczekiwała, dokazując cudów w wynikach tego dopasowywania.

Gdy zaś wrócił już nastrój błogiej bez troski, ciepłej, pogodnej, wygodnej i kojącej, szepnęła, przytulając przelotnie lewy policzek do podbródka wojewody:

„Ja przepraszam... za siebie i za męża... bardzo...“

To „bardzo“ rozplýwało się w bardzo przyjemnym dreszczyku, jakiego doznawał właśnie wojewoda. Wywdzięczył się też jej za cudną chwilę po męsku:

„Niema za co przepraszać, pani Zosiu. Zlikwiduje się!“

Zapanował obopólny czar o takim nasyceniu, że poprostu nie umieli rozstać się tego wieczoru: zdawało się im, że muszą się przemocą oderwać. To właśnie działała tak moc wojewody...

Zrana, wcześniej niż zwykle, wojewoda kazał rozmawiać z inspektorem Kostrzewą. Zamierzał sam z nim mówić. Ale tamten właśnie mówił z Warszawą, a gdy potem Kostrzewa łączył się z wojewodą, do wojewody znów dzwoniło inne miasto. W międzyczasie wojewoda dał już polecenia.

Niech inspektor wystąpi o delożowanie robotników w fabryce „Szpilka“, ze względu na niemożność zlikwidowania zatargu normalną drogą i niebezpieczeń-

stwo przeciągania i mnożenia tych okupacji, podniecających robotników.

Wojewoda kazał zaznaczyć, że woli mieć na to wniosek inspektora pracy. Kostrzewa, o którego oparł się ten telefon i obwodowy inspektor pracy, nie odważający się bezpośrednio mówić do wojewódzkiego telefonu, — znalazł w sobie odwagę odmówienia wręcz tej propozycji. Wyjaśnił, że takie strajki nie są w województwie żadną nowością, nigdy nic groźnego stąd nie wynika, władze bezpieczeństwa mogą się wcale tem nie zajmować. Pozatem strajk trwa zaledwie od paru dni, jakaż tedy zachodzi konieczność takiego wkraczania? Wogóle zaś — zaznaczył — tego rodzaju mieszanie się do strajku wcale nie było jeszcze w województwie praktykowane i może doprowadzić do znacznego wzburzenia robotników. Gdy urzędnik zaraportował wojewodzie to wszystko, wojewoda przerwał niecierpliwym ruchem ręki:

„To jakiś pyszałek, ten Kostrzewa! Nic mnie nie obchodzą jego filozoficzne wywody, ja mam lepsze studia za sobą. Spytaj go pan, czy ze strony robotników wyczerpane były wszystkie legalne drogi? Nic więcej mnie nie interesuje.“

Urzędnik bardzo uprzejmie — ze swego telefonu — powtórzył w ten sposób:

„Panie inspektorze. Pan wojewoda dziękuje za wyjaśnienia, bardzo żałuje, że inspekcja nie zrobi takiego wniosku! Obstaje pan inspektor przy swem stanowisku? Więc w takim razie pan wojewoda kazał tylko zapytać: czy ze strony robotników zostały wyczerpane wszystkie legalne środki przed ogłoszeniem strajku?“

Kostrzewa wyczuł doskonale, że są to już przygrywki przed decyzją; zawahał się przez sekundę, pomyślał, że jednak jest jego obowiązkiem dotrzeć do wojewody i rozmówić się z nim osobiście, ostrzec go; ale znów — skoro wojewoda zadawał się takim kontaktem... Oportunizm, a trochę i urażona ambicja brały górę:

„Jeżeli chodzi panu wojewodzie o to, czy robotnicy zwracali się do inspekcji pracy przed ogłoszeniem strajku, z prośbą o pośrednictwo?“

— Zawiesił głos — „No tak,“ usłyszał, „napewno o to. Pan wojewoda pytał w tej formie jak podałem“.

— „Więc się nie zwracali, proszę pana“ — odpowiedział Kostrzewa, rozcią-

gając słowa i zgłoski w słowach, jakby ważąc każdą zosobna.

— „Ale“ —dodał znów żywo — „jest to następstwem nadzoru inżyniera Miernika nad fabryką; pan wojewoda wie, że walczyłem półtora roku o zabranie go stąd“.

Urzędnik puścił fachowo ten komentarz mimo uszu. Przypięczętował jeszcze tak:

„Więc wynika stąd, panie inspektorze, że robotnicy nie wyczerpali wszystkich rozporządzalnych legalnych środków?“
Kostrzewa westchnął beznadziejnie:

„Stąd wynika, tak jest, proszę pana. Ale proszę powiadomić pana wojewodę, że ja ostrzegam przed następstwami delozowania robotników siłą i osobiście uchyłam się od wszelkiej odpowiedzialności; uważam to nawet za wręcz szkodliwe w dzisiejszych warunkach“.

Kostrzewa musiał przerwać, bo tu urzędnik wtrącił:

„Przepraszam pana inspektora, drugi telefon dzwoni. Moje uszanowanie.“

Więc właściwa decyzja zapadła jeszcze przed przyjściem Baczyńskiego. Ba-

czyński był też tam tylko krótką chwilę. Wojewoda nawet nie chciał go przyjąć, każąc powiedzieć mu przez sekretarza, że wziął już całą sprawę w ręce i doprowadzi do zakończenia zatargu. Ale Baczyński bardzo usilnie prosił o chwileczkę, poprostu — chwileńkę rozmowy.

Wszedł więc i chciał dorzucić wojewodzie wiadomości od strony nastrojów w fabryce (miał je od niezastąpionego człowieka, portjera Zielaka), od strony bezpieczeństwa publicznego. Wojewoda przerwał mu krótko:

„Jeżeli pan ma coś w tym względzie, to proszę bardzo do wydziału, jestem bardzo zajęty. Ale wątpię, bo my właściwie mamy wszystkie dane zupełnie dokładne. Tam są zakusy komunistyczne“.

Baczyński wzniósł oczy w górę.

„Panie wojewodo, poprostu jasnowidzem pan jest!“

Wojewoda wydał pogardliwie wargi.

„Cóż panowie sobie myślicie, że to dla nas trudne zadanie, albo co? Trzymamy stale rękę na pulsie! Komuniści dziś lażą do wszystkich miejsc, związków, organizacji. No, dowidzenia panu, więc ja to mam w rękę: to się skończy! Oni opuszczą fabrykę!“

— „Naprawdę, panie wojewodo“ — gorliwił Baczyński, „sfery gospodarcze cenią tę opiekę, tę prawdziwą władzę i autorytet“.

Wojewoda przerwał mu mało uprzejmie.

„Panie! wart pac pałaca! Też pańskie sfery gospodarcze to ja mam... Państwo, to mój resort! Niech pan sobie nie wyobraża, że to zrobię dla pana, jako przemysłowca i t. d. Dowidzenia!“.

Baczyński aż musiał ochłonać u sekretarza, tak bardzo mu było gorąco; błogo, a zarazem jakoś niepokojnie. W oczach miał wciąż całą tę bolszewicką bandę, sterczącą tam arogancko w fabryce, do której bał się wstąpić. Wojewoda był jasnowidzem. Rzecz jasna, że to wszystko byli komuniści! Nie wszystko jedno, czy mundur strzelecki, czy tam T. U. R. lub też inne czerwone, zielone skauty, jeżeli dusza komunistyczna, arogancja, zjadłość komunistyczna: podwyżka płac, zwalnianie majstrów, wprost komsomolskie początki! Pytał nieśmiało sekretarza, czy naprawdę wojewoda zdecydował się zlikwidować strajk! Sekretarz był wydyscyplinowanym urzędnikiem. Owszem, uprzejmie prosił „spocząć“, słu-

żył sodową wodą dla ochłody, ale w żadne rozmowy się nie wdawał. Powiedział, że, niestety, nie jest o niczem poinformowany; ma czynności ograniczone w swym zakresie. Baczyński musiał się wynieść i trwał do nocy w ciężkiej niepewności.

Przed wieczorem wprawdzie zaświtały mu już najróżowsze nadzieje. Oto portjer przysłał swoją córeczkę dla zameldowania, że coś będzie, bo do portjerni zgłaszali się policjanci zapoznać się z wejściem, pytali o rozkład hal, gdzie mianowicie siedzą robotnicy; córeczka meldowała ze słów ojca, że:

„Proszę pana dyrektora, to wcale nie nasza miejscowa policja! Tatuś odrazu rozpoznał, a i oni nie ukrywali, że są sprowadzeni.“

Po tej wiadomości Baczyński wszedł do żony, wybierającej się na jakieś kobiece posiedzenie i powiedział:

„No, zdaje się, że wyjednałem; przekonałem wojewodę, że to jest poprostu mus państwowy, skończyć z tym strajkiem! Mam takie dane, że to załatwi.“

Pani Zosia podmalowywała sobie właśnie przy lustrze twarzyczkę.

„Dlaczego nie odpowiadasz?“ spytał Baczyński, szczypiąc ją leciutko w kark.

„Nie przeszkadzaj mi,“ — odrzuciła — „bo marszczę skórę, jak otwieram usta.“ Przekora kobieca wzięła jednak górę, bo nagle odwróciła się i powiedziała:

„Już mi przeszkodziłeś; teraz już idź! A co do tej sprawy, to wcaleś jej nie załatwił, tylko, jeśli o to chodzi, to ja. Czego robisz takie oczy?! Oczywiście tak. Dzięki memu taktowi i wyrobieniu towarzyskiemu! To się, mój drogi, wynosi z domu, z dzieciństwa. No, wyjdź.“

— — — — —

Pani Zosia wyszła z domu, a Baczyński aż do chwili otrzymania wiadomości — w nocy — kładł pasjansa: wyjdzie czy nie wyjdzie? wydali robotników, czy w ostatniej chwili się cofnie? pójdzie już jutro fabryka czy nie? pozwolą mu wyrzucić Małczyka i innych komunistów, czy nie, i tam dalej, tam dalej. Z przerwą na kolację rozłożył do chwili otrzymania wiadomości — o godzinie drugiej w nocy — sześćdziesiąt cztery pasjanse.

Wojewoda, syt decyzji i poczucia własnej władzy, popołudniu wyjechał na kil-

kanaście godzin przewietrzyć się. Dużo zwykł brać na siebie, poprostu wszystko: potrzebował też chwil odprężenia.

„Dla innych brydź lub dobra książka: refleksyjne, statyczne natury: ja jestem ruch! ruch! dynamika! I wszyscy jesteśmy potrzebni!“

— — — — —

Wojewodzina popołudniu miała parę osób (małe gronko) na kawie. Ktoś zagadnął ją o męża, urządowanie, mnożące się strajki.

„On z tego wyjdzie“ — powiedziała z przekonaniem, „właśnie on i tylko on. Państwo wiedzą, że nie jestem żadnym echem mego męża, mam własne upodobania i swoje życie. Ale doceniam jego zdolności. On i tu z tych rzeczy wyjdzie zwycięsko, jak wychodzi zawsze. To jest walka z wschodnimi wpływami. To może być straszne i niepewne w wyniku tylko na naszych wschodnich kresach, bo tam wpływa i na nas, chcę powiedzieć na naszą administrację, wschodnia dzikość sąsiadów, barbarzyństwo. To przecież nawet odbiło się na tych różnych metodach na prowincji, że trzeba było rozpe-

dzać tam całe urzędy śledcze! Ale tu — zachód, inna gleba; a mój mąż — wprost jakby stworzony do porządkowania, oczyszczania atmosfery, jest takim wybitnie zachodnim człowiekiem.“

Wszyscy uprzejmię potakiwali, ale niejeden chował (na te półgodziny) do kieszeni niepokój i wątpliwości bardzo zasadniczej natury, czy aby ten zachodni człowiek nadaje się na tym zachodzie do oczyszczania atmosfery. Umiejętność nie mówienia nikomu tego, co się dokonywa właśnie pod czaszką — doszła już wśród inteligencji do takiej doskonałości, że takie „chowanie do kieszeni“ należało po prostu do obowiązków dobrego wychowania.

— — — — —

Inspektor pracy Kostrzewa nie nie przeczuwał tej nocy. Zalatany, w ciągłych rozjazdach służbowo-społecznych i wprost społecznych powrócił tego dnia do domu późnym wieczorem i odrazu położył się spać. Nawet nie czytał, tylko zaraz zgasił lampę, rozmyślając nad tańszą kalkulacją drogi kostkowej w jednym z powiatów województwa. Drogę tę bu-

dował Fundusz Pracy; Kostrzewa zajmował się, prócz inspekcji Funduszem Pracy i tam wkładał maximum swej energii, uzasadniając to tem, że wkładać należy więcej energii tam, gdzie można dokonać więcej pożytecznych rzeczy. Ostatecznie miał w tem sporo słuszności; a co było dlań najważniejsze, znajdował w tem uspokojenie moralne i niejako rozgrzeszenie zaniedbań, jakie krzewiły się na odcinku ochrony pracy. Nagabywany niekiedy przez starych przyjaciół, bronił się bardzo skutecznie. Mówił:

„Warunki pracy są złe, zabagnione i zaniedbane w całej Polsce. Wiecie o tem równie dobrze, jak i ja. Przyczyny? Są ogólne, a prócz kryzysu, słabości organizacji robotniczych są i inne, wewnątrz-resortowe. Więc na tym inspekcyjnym odcinku może odrobinę i to wątpliwe! — polepszę stan ochrony pracy, a tam — na tamym odcinku, gdy włożę tyleż energii i czasu, napewno zatrudnię sporo ludzi, dam im jeść i zarobić parę groszy, podźwignę ich z ostatecznej rozpacz! Połóżcie te dwie rzeczy na wagę.“

Dlatego też i owej nocy Kostrzewa wolał myśleć o kalkulacji drogi, niż dopuścić do swej świadomości to, co działo się

w fabryce „Szpilka“, a co po dzisiejszych rozmowach z urzędem wojewódzkim skurczyło się w nim do małego, kłującego niepokojem, punktu: kwestji wyrzucenia robotników z fabryki przemocą. Przelotnie tylko, zasypiając, musnął tę dokuczliwą kwestję i zasnął z myślą: „Zrobiłem, co należało. Ostrzegłem! A robotnicy powinni byli jednak do mnie się zwrócić! Narzucać swego pośrednictwa nie mogę! Nie obliczam na jeden tydzień urzędowania. Nie mogę mnożyć wa-a-dliwych sposo...“ Tu zasnął.

— — — — —

A robotnicy?

Nie podejrzewali nic. Lojalność portjera w pośrednictwie pomiędzy „stacją żywienia“ strajkujących, to jest ich rodzinami, a nimi wyczerpywała się w wykonywaniu tej obsługi bez reszty. Obsługa ta dobrze kalkulowała się Zielakowi, bo rodziny, supłając ze schowków, wydobywały miłą grosze lub trochę „natury“, gdy szło o rodziców ze wsi. Były to drobne datki, dateczki, ale mnożone przez czterysta — coś dawały.

Posunąć się w lojalności względem ro-

botników aż tak daleko, żeby uprzedzić ich o wizytach obcych policjantów, o tem Zielak nawet nie pomyślał. Służył panom przez całe życie i nauczył się rozumieć, że w końcu pan zawsze był górą. Ta nauka była twardą, kosztowała go w życiu wiele guzów dosłownie i w przenośni, ale zapamiętał ją sobie i przyswoił w tym sensie bardzo mocno. Był przytem związany pobocznymi dochodami „od dziewcząt“, solidarnością i „organizacją pracy“ z majstrem, nieraz i z majstrami innych oddziałów na różnych odcinkach posług; pojmował doskonale, że to wszystko nie mogłoby trwać i rozwijać się jak teraz, gdyby nastąpiły jakieś rządy Malczyka czy Mitka. Dlatego też ukrył, nawet umiejętnie zamaskował przed robotnikami zakaz podany mu przez policję o wczesnem popołudniu pewnego dnia, żeby nie dopuszczać do żadnego widzenia robotników z rodzinami i zaniechać już przyjmowania żywności.

Załoga strajkowała piąty dzień i trzymała się bez zarzutu. Malczyk z dumą i radością stwierdzał — miast słabnięcia — wzrastanie nastrojów. Przez te pięć dni pierwszej wspólnej zbiorowej akcji wytworzyło się już nietylko zwykłe ko-

leżeństwo, ale bardzo dużo wzajemnego zaufania i serdeczności. Temniemniej były pewne względy, dla których Malczyk bardzo chętnie widziałby jakiś zwrot ku nim ze strony dyrekcji fabryki. Wśród kobiet nie wszystkie były mocne i zdrowe, jedna była poważnie chora. Było kilka młodych kobiet w ciąży i dla tych warunki noclegu w fabryce, ciągły stan naprężenia i zdenerwowania były wprost szkodliwe i odbijały się z każdym dniem gorzej na ich wyglądzie i samopoczuciu. Ukrywały to bardzo starannie przed delegatem: „Serdeczny chłop“! — mawiały — „że też to jeszcze troszczy się o kobiety w takim położeniu! Oj, wybrałaż sobie Genka los, to wybrała!“ — wzdychały. Malczyk nazywał je „moje mamusie“ i otaczał je specjalną uwagą i opieką. Wyznaczył sobie do pomocy młodą robotnicę, mężatkę, Danutę Pawełkową, żeby go przy tej opiece wyręczała lub uzupełniała. Wyjaśnił jej na stronie, że „mamusie“ mogą mieć takie różne swoje dolegliwości i potrzeby, o których będzie im nijako mówić z mężczyną.

„Choć i ja mam żonę w takim stanie“

— mówił — „ale zawsze dogodniejsze będzie tu wasze pośrednictwo!“

Danuta podziwiała jego delikatność, zupełnie — jak mówiła — „niepodobną do chłopca!“

Pozatem tego ostatniego dnia Malczyk rozpoznał przez okno (w jednym z oddziałów okno z kantoru majstra wychodziło na ulicę), prócz Genki, z którą się stale przez okno pozdrowiał, Mitka, chodzącego wraz z Genką po ulicy. Wcale nie patrzyli w jego okno, choć przecie zawsze wypatrywała za nim oczy. Okno było wysoko, na czwartym piętrze, fabryka stała głęboko w podwórzu, tak iż nie słychać było żadnych słów, a i rozpoznać się można było tylko zdaleka. Malczyk zrozumiał jednak z ich gestów, z ich latania tam i z powrotem po ulicy, że coś ich absorbuje. Poznawał też od czasu do czasu jakąś znajomą postać, kogoś z rodzin robotników. Widział, jak Genka i Mitek usiłovali dostać się do fabryki i w pewnej chwili zbiegł nawet do portjerni, sądząc, że portjer ich wpuszcza. Jednak portjer (było to już po godzinie siódmej wieczorem) oznajmił mu, że ma zakazane wpuszczanie do strajkujących kogobądź,

że był tu osobiście dyrektor i stanowczo mu zabronił.

„Panie Malczyk“ prosił, „niech pan mnie nie naraża, niech pan odemnie tego nie żąda, bo przecież pan mnie nie poratuje, jak on mnie wyrzuci!“ Malczyk miał wstręt do portjera i wołał odstąpić od prób widzenia, niż prosić, lub namawiać Zielaka. Wrócił do swego okna i wtedy zobaczył, że Genkę i Mitka zatrzymał policjant i że długo, z ożywieniem o coś się spierali. Genka w końcu spojrzała w okno, zamachała do męża ręką i wołała coś, ale nie mógł dosłyszeć. Odeszli potem wraz z policjantem. Malczyk stał jeszcze długo w oknie w nadziei, że wrócą, ale już ich więcej nie widział. Tylko dostrzegł jeszcze później, że policjanci odganiaли inne żony lub mężów nawet z tamtej strony ulicy, naprzeciw fabryki, czego dotychczas nigdy nikt nie robił. Wystawał przecie po kilka godzin przy tem oknie od kilku dni i wiedział dokładnie, jak to przedtem było. Musiało tedy przyjść jakieś nowe, surowe zarządzenie. Ale czyje? Malczyk nie mógł tego wykombinować: chyba z policji? „Czy to nie Gałkowskiego robota?“ mignęło mu w głowie. „Czy nie wywołuje ja-

kiej prowokacji?“ Był jednak zbyt solidny z natury, choć młody, żeby się dzielić z kim swoim odkryciem lub przypuszczeniem i ludzi straszyć. Po to był delegatem, ich człowiekiem zaufania i związku, żeby brać zawsze na siebie większy ciężar. Odszedł więc od okna i po krótkim czasie zarządził układanie się do snu. W dzień było dość czasu na rozmowy, trzeba było oszczędzać siły i przynajmniej porządnie się wysypiać. Poszli tedy wcześniej spać.

— — — — —

Nikt nie wiedział potem w nocy, jak się wszystko zaczęło. Malczyk obudził się od szarpnięcia, otworzył oczy, nad nim stało trzech policjantów i portjer. „To ten“ — powiedział Zielak — „to główny buntownik; choć niby strzelec-komunista. Delegat ich, Malczyk“. Władek wstał i odrazu przytomniejąc, zapytał: „O co chodzi, panie przodowniku?! My tu swoim prawem strajkujemy“. Przodownik skinał na policjantów. „Pogadasz w innym miejscu“ — powiedział — „odprowadźcie go na stronę i trzymajcie w portjerni, żeby tu nie agitował!“ Policjan-

ci — szarpiąc go i szturchając — po-
pchnęli przed sobą na kurytarz i na dół,
ze schodów. Rozejrzał się: dziesiątki po-
licjantów, jakichś nieznanymi, bez żad-
nych numerów, strasznie nasrożonych
i rozjuszonych, zrywało śpiących robot-
ników i wypychało ich z hal. Zdażył
krzyknąć jeszcze tylko głośnym, rażnym
głosem: „Spokojnie, towarzysze! Spokoj-
nie! nie poddawać się żadnej prow...”
Nie dokończył, bo prowadzący go poli-
cjanci dali mu jak na komendę, z jednej
strony w ucho, z drugiej w bok. Ogłu-
szenie w lewe ucho odebrało mu na chwi-
lę przytomność umysłu, ale ocknął się na-
tychmiast, wsparty o ścianę na schodach
i wtedy porwał się na policjantów. Zła-
pali go w kilku za ręce i ściągnęli na dół,
pod schody.

Malczyk ocknął się — nie wiedział po
jakim czasie — już sam. Zbudziły go
straszliwe, rozdzierające krzyki kobiet.
Nie mógł jednak wcale wstać: był potłu-
czony, był jakby pijany. Bolały go stra-
sznie piersi i bok, skopane przez policjan-
tów.

U kobiet policja musiała brać się
ostrzej. Mężczyźni — budzeni brutalnie
ze snu, nie rozpoznawali odrazu, dawali
się wypychać. Niektórzy widzieli, jak
uprowadzono — domyślali się, że to bi-
to — Malczyka. Kilku wybiegło za nim
na schody: — „Nie dać delegata!!!“ —
i dostawało zaraz po twarzach, piersiach,
brzuchach, kolanach od policji. „Masz za
wasz front!“ — wołali policjanci. — „Re-
wolucji wam się zachciewa? Żydowskich
Sowietów? To macie!“ Tak rozproszyli
się mężczyźni; przytomniejsi nawoływali
krótco słowami Malczyka: „Spokój, spo-
kój, towarzysze! To prowokacja! Tu set-
ka policji z bronią! Spokojnie wycho-
dzić, nie dać się wytłukiwać!“ Wycho-
dzili; przodownik, stojąc przy wejściu na
schody główne, po których każdy musiał
przejść, liczył ich i popędzał do wyjścia.

U kobiet — zgodnie ze złem przeczu-
ciem Malczyka — zdarzyła się gorsza bie-
da. Kobiety kwaterowały po drugiej
stronie fabryki i nie słyszały budzenia
oraz wyszturchiwania mężczyzn. Z mę-
żczyznami już było wszystko załatwione,

wypuszczano już ich spokojnie po dwóch na ulicę, kiedy z oddziałów kobiecych przedostały się straszliwe krzyki, wywołując z omdlenia Malczyka. Kobiety, budzone nagle ze snu, spadały ze stołów, przewracały się, krzyczały. Nie chciały ustąpić. Policjanci, z początku raczej zaintrygowani tym niespodziewanym oporem kobiet (gdy u mężczyzn wszystko poszło prawie gładko), wypychali je i zeszturchiwali ze stołów trochę żartobliwie, chwytając przytem czasem młodsze za okrągłe części ciała. Ale nagle ten opór rozwściekił jednego z nich. Kobietę, która nie chciała iść i trzymała się oburącz stołu, kopnął mocno ztyłu, aż z jękiem bólu upadła na stół. Prawdopodobnie w popłochu nie widział, że była to właśnie jedna z ciężarnych. Rzuciły się ku niej bliżej stojące robotnice, a Danuta Pawełkowa ogarnęła ją ramionami, widząc, że się słania i słabnie. Policjant dał tedy Danucie po rękach, ale nie trafił na strachliwą, bo krzyknęła mu: „Katuj! Katuj, ale mnie, nie ją! Nie widzisz to, że ona już matka!“ Lament wybuchł w innem miejscu sali. „Zabili, zabili Strączakową!“ — krzyczały dziewczęta, a policjanci chwyтали je za warkocze,

szarpali za suknie i pchali precz z sali. Na podłodze, w opróżnionem miejscu, w strasznych podrygach rozbijała się epileptyczka. Rozrzucone jej ręce i nogi były w podłogę drobnem, strasznym, sztywnem biciem, całe ciało podskakiwało i trzęsło się, żeby się wreszcie wyprężyć, jakby już umierała. Na zsiniałych, strasznych ustach pojawiła się obficie biała piana. Był to atak. Kobieta ta miewała czasem, słabsze wprawdzie ataki, teraz w tej chwili przyszedł silniejszy. Bratanica jej, mała dziewczyna, przyjęta na praktykę, krzyczała dziko: „Przykryć ją! Zabójcy!! Przykryć trzeba!! Głowę unieść!! rozbije głowę! głowę!“ i zaniósła się spazmatycznym płaczem. Zrobił się istny rumor. Dwuch policjantów ułożyło na stole młodą ciężarną robotnicę, która zemdląła. Druga — ta uderzona przy stole, siedziała, otoczona przez kobiety i dyszała ciężko. Wyglądała tak, że przodownik, który nadszedł na krzyki, kazał telefonować natychmiast po karetę pogotowia. „Jeszcze się tu zaczną rozsypywać; tego tylko brakowało!“ dodał. Epileptyczkę wreszcie przykryto. Wyprowadzano zdrowe. Prawie wszystkie kobiety coś przeszły, wносиły sińce, kopnięcia,

ale nie wiele z nich płakało. Większość miała usta zawarte, jak wieka, oczy fosforujące. Przodownik (jakiś obcy, nikt go nie znał w tem mieście) mówił za niemi: „Histeryczki, kurwy, awanturnice, komuna psia mać!” — Danuta odwróciła się, poczuwając się poniekąd — z podbitym okiem i przetrąconą ręką — do części obowiązków delegackich, zleconych jej przez Malczyka i powiedziała głośno, dobitnie:

„A ty — kat! Katujesz bezbronnych ludzi i baby!” Wiedziała dobrze, że musi za te słowa zapłacić i czekała: nie ujdzie im przecie. Ale przodownik spojrział na nią z krzywym uśmiechem i powiedział półgłosem do szeregowego obok: „Tę sprowadź osobno i zaczekaj z nią na dole. Weźmiemy ją, w razie czego, na przesłuchanie. To para do delegata”.

— — — — —

Kiedy karetka pogotowia nadjechała, okazało się, że osiem kobiet nie może iść o własnych siłach. Były to: epileptyczka, która zapadła w swój stan niemocy po ataku, cztery ciężarne i jeszcze trzy ciężko pokaleczone kobiety. Sanitarjusze

w milczeniu pełnili swój obowiązek wnoszenia ich do karetki. Ale kiwali przytem głowami i tu przodownik poczuł pewne wątpliwości: czy właśnie dobrze wypełnił polecenie władz?

Wpadła mu tu w oczy Danuta Pawełkova między dwoma policjantami; skinał na policjantów:

„Przegonić ją precz, to ścierwo! Do domu!” Jeden z sanitarjuszy dostrzegł nagle pod klatką schodową nogi Malczyka. Oczy rozwarły mu się szeroko. „A ten? — wyjąkał — „Co to?” policjanci podeszli szybko do Malczyka, podnosząc go na nogi. „To frajer” zagadali „ze schodów zleciał, ze snu, zamroczyło go! „Przodownik podszedł i powiedział spokojnie: „A, to ten pierwszy, delegat ich. No, cóż, może pan iść? Chcesz do kryminału, do pogotowia, czy do domu?” Malczyk zupełnie przygotowany na areszt, poczuł nagle przypływ nerwowych sił: „Zdaje się, że mogę iść...” postąpił parę kroków. „Głowę mam stłuczoną, czy co?” — nie mógł się połapać. — „Głowę to masz już kupioną, przez żydów, za dolary, żebyś Polskę sprzedawał!” — zadowcipkował przodownik. — „Tak jest, święta prawda, panie przodowniku! Oni tu tak wszy-

scy!“ — sekundował mu Zielak. Przodownik namyślał się i niespodziewanie zdecydował: — „No to panie delegacie, zbierać się do kupy i marsz do żony pod pierzynę!“ Malczyk, słaniając się z lekka, podążył ku wyjściu. Wychodził już chyba ostatni.

— — — — —

Na ulicy zakręciło mu się w głowie. Było pusto. Robotnicy musieli się śpieszyć do domów. Zamroczyło go już kilka kroków za fabryką i wsparł się o mur. Coś strasznie kłuło pod żebrem, chlupało w piersi, huczało w głowie... Czuł, że się osuwa na ziemię, i osunął się w ramiona Mitka. To on i Genka (domyślili się wszystkiego) czuwali całą noc w pobliżu, a teraz od godziny, z duszą na ramieniu, wyczekiwali jego zjawienia się. Przeszli już bowiem wszyscy mężczyźni, odjechała karetka pogotowia z rannymi kobietami; pytani o Malczyka, mówili: „Oj, aresztowany! Oj, najpierwszy dostał! Oj, pobili go!“

Genka, zalana łzami, które, jak płomień gorące, schły na twarzy, cała skrzepła, z dzieckiem, skaczącym wściekle we

środku jej ciała, czekała dalej. Gdyby nie Mitek, nie jego straszliwa wierność i siła, nie mogłaby już dłużej tak stać. I wreszcie... podnosili teraz oboje Malczyka. Zobaczył ją. Łzy jej zalały mu skrwawioną twarz, a usta jej, suche jak słoma, biegały oszalałe po tej jego twarzy, tak bardzo kochanej. Klęczała przy nim na ulicy, zapominając o wszystkim.

— „Czy ty żyjesz, Władek?“ — szeptała nierozumnie. — „Czy masz wszystko całe? Oczy? Nogi?! Nie zrobili ci nic gorszego?“ Mitek odsunął ją łagodnie od Malczyka. „Geniu, musimy go przecie stąd zabrać. Idźcie obok, ja go będę niósł“. — Wtedy to dopiero Malczyk poznał Mitka. — „Jasiu!“ — powiedział, — „toż ty tu, bracie, — choć wyszedłem od was!! Przyszedłeś mnie ratować... Cały dzień byłeś z Genką pod bramą...“ — Mitek, milcząc, ładował go sobie na plecy, uginając się pod ciężarem. Gdy wyładował i już niósł, głowa Malczyka nagle zwiśla bezwładnie na jego ramię. „Władek, żyjesz?“ — zawołał, przystając, a Genka krzyknęła przeraźliwie: „Władku!“ „Genka, nie krzycz, bo to tak, niby drugi raz męczą tam nasze kobiety! — Jasiu, przecież, bracie,

nie mi nie jest; tylko potłukli mocno...“ —
Długo, daleko, przystając, sapiąc z wysiłku, niósł duży chłop Jasio dużego chłopca, Władka, na barana do jego domu. Stróż już nie spał, otworzył bramę.

„Jezus, Marja!“ — wykrzyknął. — „Pan Malczyk! Skatowali go!“ i ze zgrozą na starej, zoranej twarzy wyciągnął do góry zaciśniętą pięść.

„Pomóżcie nieść, panie Wincenty“, poprosiła Genka, płacząc. Świtało już dobrze i widziała teraz dokładnie zemdloną, skatowaną twarz Władka.

Gdy stróż z Mitkiem złożyli Władka na łóżku i zdjęli mu buty, w jednym z butów było pełno krwi: noga była strasznie rozbita w kostce, widać od kopnięcia. Był zresztą teraz znów całkiem bez czucia. Rozbierali go więc delikatnie: cały pobity, na prawym boku miał jakiś niesamowity siniec i ogromną opuchlinę.

„Żebra!“ — szepnął stary, — „czy tylko żebra całe? Pani Malczykowo, może skoczyć po jakiego lekarza?“ Mitek powiedział: „Dziękujemy wam, ja sam zaraz tu lekarza przywiozę“. Zabierał się też zaraz iść, kiedy Władek otworzył znów oczy. „Jasiu, ty idziesz? Nie odchodź!“

Spojrzeni, zdrowi, po sobie, a Mitek przysiadł zaraz przy łóżku w kucki:

„No cóż, Władziu, przytaszczę ci jakiego eskulapa, żeby cię narychtował, jeżeli tam co puściło... Zaraz duchem będę z powrotem. Nie odejdę dziś od was nigdzie.“

I wtedy Malczyk, wielkim wysiłkiem woli przemagając słabość i ciągle mdlenie, z kołującymi płatkami przed oczyma, wymówił powoli: „Żeby ci, braciszku, nie robili tam o mnie kwestji, że zajmujesz się!!! bo że nie jestem już w waszym związku“... Zmrużył przytem oczy do przyjaciela tak żałośnie, jakby go za coś miał przepraszać. Mitkowi cała krew lunęła do twarzy. „Daj sobie spokój, Władku“, — powiedział twardo — „jestem, będę z tobą zawsze w jednym związku! A na ten znak“... — tu szarpnął z klapy marynarki swoją odznakę „za wierną służbę“, z którą się nigdy jeszcze nie rozstał: „ona tu z tobą, w tym domu zostanie! Tu mego krzyża i nasze miejsce!“

VII

TEN RANEK...

Pomiędzy tą nocą a rankiem, w którym zaszły dalsze, tragiczne już, wypadki, minęły dwie długie doby, w ciągu których było może jeszcze częściowo do odrobienia (w rachunku społecznym) fatalne wrażenie owego „delożowania“ robotników. Zdawało się też, że będą po temu czynione pewne kroki. Gdy Kostrzewa zrana zjawił się w biurze, niedługo czekał na telefon wojewody. Ale jeszcze przed tym telefonem dowiedział się o zaściu, gdyż czekały już na niego delegacje obydwuch związków: byłego i aktualnego opiekuna w fabryce „Szpilka“; czekało kilkudziesięciu robotników z tej fabryki, a prócz tego — mężów i ojców pobitych kobiet, przebywających w szpitalu. Nie mógł wejść do gabinetu, pomimo obznajomienia z okolicznościami podobnych zdarzeń. Zwykle potrafiłby od-

machnąć skargę i gniew takim czy innym gestem życzliwości, zrozumienia, współczucia, dostać się do gabinetu (postawa prestiżu!) i dopiero tam jać się wysłuchiwania wszystkich skarg. Tu — napięcie skarg i gniewu było tak decydujące, że wstrzymało go w kurytarzu - poczekalni. To też odrazu zlała się na jego głowę płomienna, zbiorowa skarga tych wszystkich ust; odrazu skoczył mu do jego dobrych, jasnych oczu ich ostry, bolesny, ich słuszny gniew.

„Panie inspektorze!“ — wołali jeden przez drugiego. — „To taka sprawiedliwość nad nami? To takie nasze państwo niepodległe? To myśmy o takie pochowali tyłu naszych synów, ojców, mężów?!... To taka pomoc naszym żonom przy rodzeniu?! Niech pan inspektor idzie do szpitala obejrzyć tam kobiety, które rodzą po dzisiejszej nocy?! Niech pan inspektor zobaczy ich popodbijane oczy, zęby, powykęcane ręce?! A gdzie był pan inspektor?! Jak pan inspektor do takich rzeczy dopuszcza?! Przecie to bez pana inspektora nie może być!! Będziemy skarżyli do ministra! Będziemy wołali na całą Polskę!! Krzywda się nam dzieje! Nie mieliśmy takiej w fabrykach za niewoli!“

Kostrzewa stał, czekając, aż się to wyda.

„Jak dacie mi przyjść do słowa, będę z każdym gadał! Gdybyście do mnie przyszli przed strajkiem, tobym napewno nie dopuścił! Aha? to i waszej trochę winy się znajdzie?! Puśćcie mnie do pokoju rozebrać się i zaraz was do siebie proszę na rozmowę.“

Rozstapili się odrazu.

„Prosimy, panie inspektorze. A i to prawda, że warto było może przyjść. Ale nikt już nie miał sił wierzyć. Za dużo już tej krzywdy narosło...“

I tak płynęła już ta druga, mniejsza, niższa po owej dziewiątej, fala.

Kostrzewa, nie zamykając drzwi od gabinetu, zdejmował palto. Współczuł szczerze tym ludziom, znał dobrze ich słusność i nie bał się ich. Był przecie synem robotnika, tak jak i portjer Zielak, jak ci wszyscy. Miał za sobą wspomnienia dzieciństwa w biedzie, ciemnocie i poniewierce. Ojciec jego, tak jak Zielak, całe życie służył panom. Ale płuca jego ojca, zniszczone przez nędzę, serce, związane przez nadmierny wysiłek całego życia o głodzie, musiały go wprowadzić też uczyć prawdy Zielaka: że pan zawsze gó-

ra, ale z tą prawdą mocowała się już jego wola, mocował jego nieuprawiony, ale żywy umysł i to mocowanie się z prawdą Zielaka przekazał już swoim dzieciom. Dlatego to właśnie Kostrzewa w młodości brał udział w rewolucyjnej konspiracji pod zaborem rosyjskim (w konspiracji, z ewentualnością katorgi i stryczka), dlatego chodził — jak słusznie wywęszył Baczyński — do Naczelnika Państwa, Komendanta Józefa Piłsudskiego, z delegacją małorolnych — o reformę rolną i dlatego też właśnie, choć się oni na niego słusznie gniewali — nie potrafił się bać robotników.

Miał ich prosić do gabinetu, ale właśnie zadzwonił telefon. Skinął więc na sekretarkę, by ich wstrzymała przez chwilę. To dzwonił wojewoda. Kostrzewa poznał od razu różne akcenty jego głosu.

„To pan inspektor Kostrzewa? Panie, więc ja swoje zrobiłem! Teraz pan musi energicznie nimi się zająć“ — Kostrzewa się zdziwił.

„Nie rozumiem, panie wojewodo! Pan wojewoda przecie przesądził tę całą sprawę!“

Wojewoda zniecierpliwił się.

„Ależ nic podobnego, panie inspekto-

rze! Siedzi pan w doktrynach, zamiast w życiu! Nic nie przesądziłem, prócz koniecznych zarządzeń bezpieczeństwa! Teraz pan będzie łaskaw zwołać te strony; tak, na moje wyraźne żądanie! Baczyńskiego proszę przycisnąć z całym rygorem, ma załatwić wszystkie ich pretensje, to znaczy, znam mniej więcej żądania: podwyżkę dać, ustawodawstwo honorować, no i co tam jeszcze macie.“

„Nie wiem, panie wojewodo, czy Baczyński zechce teraz z nami gadać! Przecie pan wojewoda...“ — Wojewoda przerwał mu.

„Panie! Przecie zrozum pan, nie leży na linji moich zamierzeń, żeby taki jeden z drugim Baczyński wyobraził sobie, iż wkraczałem tu dla jego korzyści, pod jego dyktando, czy pod naciskiem tych sfer! Czy pan to rozumie? Nie mogę tak stawiać polityki państwa! Ja to zrobiłem z głębokiego przekonania, dla względów natury państwowej. Otóż teraz właśnie rękami pana pokażę im i całemu miastu, że będą musiały być uwzględnione wszystkie słuszne żądania robotników! Teraz więc składam to w ręce pana! Robotnikom niech pan to podda, że ja bolszewickich faktów dokonanych, tych tam

polских strjaków nie dopuszczę, ale zawsze po stronie słusznych praw świata pracy stoję. Baczyńskiego pan bezceremonjalnie przyciśnie, gdyby się panu stawiał. Ja jego znam: to tchórz! Zakaże mu pan jakichkolwiek konszachtów z bezrobotnymi. Ma wrócić do pracy cała załoga, bez żadnego wyjątku! Proszę pana, żeby dziś cała sprawa była zakończona, tak, żeby w poniedziałek miał tam czynną fabrykę i spokój! Dowidzenia panu. Proszę o raport po zakończeniu. Czy do biura? Nie, wszystko jedno gdzie, nie wiem, gdzie kiedy będę! Najlepiej niech pan da znać sekretarzowi, on mi powtórzy.”

Rozmowa była skończona.

Kostrzewa nie miał więc czasu do stracenia. Wezwał robotników do natychmiastowego wyłonienia przedstawicielstwa dla załatwienia żądań strajkujących z dyrekcją przy jego pośrednictwie.

„Macie delegata, nowego obraliście? Jest tu?” — spytał.

„To Malczyk” — rozległy się głosy. — „Miał tu przyjść, ale w nocy sfatygowano go mocno, leżał jeszcze teraz w łóżku, żona nie wpuściła nas.”

Kostrzewa zakrzętnął się z wawo. „Idźcie tam i sprowadźcie go, przywieźcie, tu

siądzie sobie w fotelu, dam mu szklanekę herbaty, jeżeli słaby. A żonie powiedzcie, że jak on wyrobi dla was podwyżkę, to lepiej się będą kochać. Niech go puści!”

Robotnicy poszli, pozostały tylko rodziny pobitych kobiet i przedstawiciele związków. Wystąpił naprzód Mitek, którego Kostrzewa dobrze znał.

„No, cóż powiecie, panie Mitek! Uciekli wam ze związku i stała się taka bieda. Ale za to teraz nie wasz związek, tylko ten musi rozplątywać wraz ze mną tę chryję!!!”

Mitek popatrzył na inspektora niewidzącymi oczami. Nie spał przez całą noc i przeżył przez nią kilka ciężkich lat.

„Nie o to nam idzie teraz, panie inspektorze, my, czy oni! To w tej sprawie jedno. Będziemy tu wszyscy, jeżeli pan inspektor potrafi nagrodzić te krzywdy. Ale idzie mi o te kobiety w szpitalu. Co z tem będzie? Czy to tak ma przejść? Ludzie tego nie darują!”

Kostrzewa zakłopotał się. „No, moi drodzy, przecież mnie znacie i mój stosunek do rzeczy. Cóż ja tu mogę zrobić! Dajcie mi teraz załatwić żądania robotników. Tym kobietom w szpitalu może już nic gorszego się nie stanie! Rozumiem, że was

to razi, że to nie jest ludzkie. Ale naprawdę — ja muszę teraz mówić z Baczyńskim, zmusić go, by tu zjechał; to, wiecie, nie łatwa sprawa, dajcie mi się tem zająć! Miałem pilne rzeczy w Funduszu, wszystko odkładam, będę to robił, aż dobiję końca, cały dzień! I tak myślę, że to przecie będzie jednak trochę wesołości w tej smutnej sprawie, jak dostaną podwyżkę.“

Mężowie poszkodowanych krótko poszeptali między sobą.

„No cóż, panie inspektorze“ — powiedział Pawełek, mąż Danuty. — „Życzymy panu powodzenia, to gromadzka sprawa! A tę naszą krzywdę kobiet naszych, to, jak widać, znów schowamy w siebie! Tylko z tego grzebania takich krzywd w sercu — bez wyjścia — to wyrasta, panie inspektorze, oj gorzki piołun, gorzki! Bo przecie tu nasza ojczyzna i nigdzie stąd nie pójdziemy!! Oni, taki Baczyński, wyjadą, wylecą samolotem, a pieniądze to i tak przeważnie chowają już po obcych bankach, za Polską. My tylko, my zostaniemy zawsze w Polsce. A jak żyć z taką goryczą w sercu?“

Milczeli wszyscy. Zamilkł i Kostrzewa, wymowny i mowny, bywały człowiek.

Mrugnął oczami, jakby od bólu. Bo ścisnęło mu się i bólem i żalem polskie serce.

— — — — —

Baczyński przybył ściśle na wyznaczoną godzinę. Spoczątku stawał się przez telefon, że nie widzi żadnej potrzeby, ani powodu; wywiesi ogłoszenie, ma wolną rękę; ale Kostrzewa w mig załatwił się z nim, powiedział, że dopiero co mówił z wojewodą i skoro Baczyński odmawia przybycia, to on umyje ręce, a odeśle go do wojewody; będzie też sam zaraz telefonował tam o jego odmowie. Głos miał przytem bardzo stanowczy, wewnętrzna pasja na tego człowieka kierowała jego działaniem. Baczyński poddał się.

Przed Baczyńskim jeszcze przybył Malczyk, przywieziony dorożką. Gdy wszedł pod rękę z Mitkiem, który nie odstępował go, Kostrzewa zobaczył odrazu, jak został poturbowany. Miał twarz w sińcach i plamach, usta spalone gorączką, oddychał z wysiłkiem. Ale gdy Kostrzewa, sadzając go w wygodnym krześle, zapytał, czy nic poważniejszego, Malczyk uśmiechnął się jednocześnie po-

ważnemi oczami i zgorączkowanemi ustami i powiedział:

„Nic mi nie złamali, panie inspektorze! Żebym tak dziś mógł poleżeć, tobym jutro sobie fajnie chodził!“ — poczem wyjął z kieszeni kartkę z żądaniami i zaczęli omawiać całą sprawę.

— — — — —

Sporo godzin trwało to wspólne ugadywanie się między nimi, inspektorem i Baczyńskim. Zanosilo się już na zakończenie (Kostrzewa bezceremonjalnie przycisnął Baczyńskiego), kiedy inspektora odwołano do telefonu w innym pokoju. Dzwonił urząd wojewódzki, z polecenia wojewody. Kostrzewa więc zawiadomił, że niedługo już załatwi pomyślnie cały zatarg: żądania robotników zostaną w stu procentach uwzględnione. Ku zdumieniu swemu usłyszał w odpowiedzi:

„Już teraz tak prędko nie można, panie inspektorze! Pan siedzi w biurze, to pan nic nie wie! Te kobiety tam w szpitalu ponasiewały buntu na całe miasto, jedna zażądała spowiadać się, do cholery! Słowem, robotnicy po całym mieście łażą, krzyczą, awanturują się, tu aż pod woje-

wództwo słyhać te ich „precz“ i „na la-tarnie!“ Nie starczy policji do rozpędzania“ komunikował podniecony urzędnik. Kostrzewa zaniepokoił się nie na żarty.

„To bardzo przykre, panie, ostrzegalem, to są następstwa tej nocy! Ale nie rozumiem, cóż to ma?! Tembardziej trzeba prędejj załatwić ten cały ich zatarg, to się może uspokoją i pójdą do domów. No, a o kobietach trzeba zaraz dać do prasy, że żadnej się nic nie stanie, lekkie poturbowania“.

„Ależ jest wyraźny zakaz, panie inspektorze, to jest przepraszam, ale pan wojewoda życzyłby sobie, uważa, że dziś pan inspektor nie może załatwić tych żądań. Bo to bedzie wyglądało na takie podlizywanie się do robotników, na działanie pod dyktando, gdy tylko zaczęli się awanturować. Bardzo szkoda, mówi pan wojewoda, że pan inspektor wcześniej nie poszedł tą drogą. Ale teraz, ze względu na konieczność współpracy władz... Pan wojewoda bardzo prosi, dziś absolutnie nie załatwiać. Jasna sprawa prestiżu władzy, nieprawdaż?“

Kostrzewa, bardzo niespokojny, wzbu-

rzony, prosił o bezpośrednie połączenie z wojewodą.

„To niemożliwe, panie inspektorze, — pan wojewoda ma pilne rzeczy z Warszawą! Zresztą pan wojewoda prosił pana inspektorowi powiedzieć, że kategorycznie prosi dziś nie załatwiać; niechże teraz poczekają!”

Kostrzewa próbował jeszcze: „No, to w każdym razie wszystko przygotowuję i załatwię jednak jutro, w niedzielę. Ludzie się dowiedzą przed poniedziałkiem. Idzie mi o to, że inaczej — i to chciałbym powiedzieć panu wojewodzie — mam wrażenie, przeciągniemy strunę! Może to kosztować krwi! Chciałbym załatwić najdalej jutro!” — Urzędnik pomilczał chwilę.

„Już nie wiem, jak to powiedzieć, panie inspektorze. Pan rozumie, tyle czasu się znamy, przecie nie chciałbym pana urazić... Ale pan wojewoda powiedział, że po tem, co oni teraz wyprawiają na mieście, nic nie może być im za prędko załatwione, niech się wpierv uspokoją... Ja sam, panie inspektorze, wcale też nie stawiam po tem wszystkim wesołych horoskopów...

Tembardziej, że to nietylko w Szpilce była tej nocy policja... Ale cóż robić... wyraźna wola wojewody!...”

Na tem zakończono rozmowę.

Kostrzewa pod jakimś pretekstem zakończył naradę, przygotowując wszystko tak, żeby zostało tylko formalne zakończenie zatargu. Baczyński musiał się zasadniczo zgodzić na poprawę stosunków w fabryce. Obie strony były bardzo zdziwione, że nie przychodzi teraz odrazu to formalne załatwienie całej sprawy. Rozeszli się.

Kostrzewa z bólem głowy udał się do domu. Tam oddał się bardzo męczącym rozmyślaniom. Mówić z Warszawą? Ostrzec głównego inspektora pracy? Ministra? Ale przecie wojewoda rozmawiał już napewno tu i tam przez telefon i miarodajnie naświetlił sytuację. Musi chyba mieć jakieś pokrycie, skoro idzie w takim kierunku! Kostrzewie błysnęła myśl: podać się do dymisji! Powiadomić bezpośrednio ministra, czem to wszystko grozi. i podać się do dymisji! Nie chce ponosić odpowiedzialności za następstwa szaleńcych wyczynów.

Wyszedł jeszcze na miasto. Ale robotników, porozpędzanych przez policję,

już nie było widać w większych gromadach. Pojedyńczy robotnicy, których spotykał, mieli twarze znamienne, pociemniałe od skupionej troski. Jednak — z tej wycieczki — wypłynęło znów trochę uspokojenia, jakaś skromna pożywka dla pokładów oportunistów, spoczywających w duszy: poszli przecie do domów, uspokoili się, nie wylegli tysiącami, dziesiątkami tysięcy na miasto. Może więc to wsiąknie! A w poniedziałek i tak przecie załatwi już tę sprawę. Wrócił do domu. Gdy się rozbierał do snu, zaczęła go żona:

„Słuchaj? Czy aby z tego nie będzie gorszych rzeczy? Dziś po południu na mieście wyglądało, powiadają, jak przed tamtymi dniami w r. 1923. Takie nastroje robotników...”

Kostrzewa wyciągał się już w łóżku, wzdychając głęboko w takt opadającej już nieco, tak bardzo gnębiącej troski. „Może i nic nie będzie! Ty tego nie wiesz, ale ja wiem, jak bardzo lud polski jest cierpliwy. Może i na ten raz jeszcze uspokoją się...” Z tem zasnął i pod znakiem tej nadziei przewałkował niedzielny dzień. Był zresztą w szpitalu zobaczyć robotnice, zapoznał się tam z klasyczną zaiste

opinią lekarza, który badał je zaraz po przywiezieniu i zaświadczył, że:

„Doznane potłuczenia i urazy nie są tej natury, żeby mogły spowodować śmierć.”

Dziesiątki robotników i robotnic, z ponuremi twarzami, wyczekiwały wyników odwiedzin rodzin. Kostrzewa zamienił parę słów ze znajomymi spośród robotników. Na jutro był ogłoszony strajk i wiec protestacyjny.

„Rozejdzie się może po kościach” — pomyslał znów Kostrzewa — „byle tylko tu żadna nie umarła!”

— — — — —

Otóż więc pod takimi wpływami powstawał ów ranek, strajk protestacyjny przeciw wkraczaniu administracji w załatwianie strajkowe i przeważaniu sprawy na stronę fabrykanta.

Całe miasto widziało, jak to wszystko zaszło. Cztery tysiące robotników i robotnic wypłynęło z wiecu protestacyjnego. Nie tworzyli pochodu, nie ustawili nawet sobie żadnej straży porządkowej; szły kobiety, szły małe dziewczynki z kolekcji dzielnego majstra Zielnika. Ale

przodem szli przeważnie starzy siwowłosi robotnicy z kopalń, z innych fabryk.

Gdy dostrzegli ustawione w poprzek drogi kordony policji, na czoło tłumu wysunął się siwowłosy robotnik i szedł, trzymając obie ręce wysoko wzniesione w górę. Gdy wznosił ręce, jakaś kobieta z tyłu pociągnęła go zaraz za ubranie..

„Co to? Po co“ — pytała gorączkowo. Obejrzał się w tył ku niej i ku wszystkim.

„Taki polski znak“ — powiedział z twardym uśmiechem, — „że nie mamy strzelać, że do nas strzelać nie trzeba“.

— — — — —
Zbliżyli się do kordonu.

„Rozejść się!“ — krzyczeli policjanci. Ale dokąd? Z tyłu, w wąskiej ulicy, napierał tysięczny tłum, nie pojmując przyczyzny wstrzymania. Niektóre z kobiet wpadły na pomysł wydostania się z niespodziewanej opresji — niektóre pozostawiły w domach — na chwilę! — małe, niezabezpieczone dzieci... Jedna i druga podpraszała się tak do kordonu:

„Przepuście panowie! przecie do domu, do dziecka!“ . Wzruszając z zakłopo-

taniem ramionami, puścili policjanci przez kordon kilka kobiet. Ale wreszcie jedna nie podobała się kordonowi. Miała wypieki, miała złą twarz. Krzyknęła ostro:

„I mnie do dziecka!“ Jeden z policjantów ułapił ją za rękaw i szarpnął.

„Do dziecka!“ — krzyknął, — „a rewolucję robisz? Też dla dziecka?“ — Pchnął ją z powrotem. Wtedy to bladł jak papier, wysunął się z tłumu Jan Mitek, ze wszystkimi krzyżami na piersiach. Zwrócił się w stronę tłumu i krzyknął jasnym, spokojnym głosem:

„Towarzysze! Który z wojska, z Legjonów, Strzelca, kawalerzy krzyża, na przód wystap!“ Na wołanie to — jeden za drugim — poczęli się wysuwać z szeregów, przed front tłumu uczestnicy walk o niepodległość, byli żołnierze. Tu policja, ustawiona naprzeciw tłumowi, dała pierwszą salwę w powietrze.

„Rozejść się!“ — wołano jednocześnie do zamkniętego, beznadziejnie zakorkowanego tłumu, napieranego z tyłu przez dopływające szeregi. Front byłych żołnierzy na czele tłumu — ani drgnął. Bez strachu patrzyły ich oczy, nie drżały usta.

I to widziało, i zrozumiało to — całe

miasto: więc prócz robotników — panowie, kupcy, urzędnicy, oficerowie.

Siwowłosy, nieznany robotnik dołączył się do pierwszego szeregu, opuścił już tylko swój tragiczny symbol — ręce.. W tej chwili gałkowski nie — Gałkowski, gałkowski — symbol wystrzelił ze środka tłumu w górę, ponad głowy kordonu. Robotnicy byli bez broni, nie zamierzali strzelać! Wszyscy zrozumieli ten strzał.

Ale też wtedy na rozkaz, padła salwa — w tłum. Rozpoczęło się żniwo śmierci...

Były to dziwne, dzikie, straszne godziny w mieście. Ludzie widzieli, jak jakiś policjant dopadł idącej skwerem kobiety i z tyłu przebił ją bagnetem. W innym miejscu inny policjant (a wszyscy mieli pozdejmowane numery z czapek) — na oczach ludzi skatował na śmierć uczniaka. Znów w innym miejscu policjant wpadł do dorożki, wiozącej na dworzec dwie starsze panie w żałobie i począł w dzikiej a niepojętej pasji okładać je gumową pałką. Akademika na rowerze, który pytał o prawo przejechania ulicy, inny, zamiast odpowiedzi, zdzielił pałką

przez ramię. Nikt nie rozumiał, co się dzieje, dlaczego to policja w tem mieście, dalekiem od wschodu, nie znającem tradycyj caratu, wskrzesza z taką zajadłością najgorsze metody carskich kozaków!

Mitka, postrzelonego ciężko przy pierwszej salwie, robotnicy ułożyli na skwerze i postawili przy nim swoją robotniczą wartę. Zaraz zmarł, nie przemówił ani słowa; do końca życia bohaterski i waleczny kawaler krzyżów, bezrobotny legjonista Jan Mitek. Leżał z otwartymi, pojaśniałymi oczami, jakby patrząc przez czarne jeszcze gałęzie drzew w blade, wiosenne niebo. Swoją nakaz honoru, żołnierskiego i proletarjackiego wypełnił do samego końca.

Wielkim był majestat jego śmierci: Czy to te krzyże, czy ten jasny, nieruchomy wzrok — coś sprawiło, że odstąpili policjanci, porządkujący skwer; że nie tknęli go sanitariusze z pogotowia, do których warta zwróciła się z prośbą:
„Zostawcie tego nam, ten już całkiem nasz...”

Malczyk, który nie widział, jak padł Mitek, bo był daleko, znalazł go na skwerze późno po południu, kiedy już zacichała walka. Już wiedział, lecąc tu, że Mitek zabity. Leciała wraz z nim, szlochając, Genka. Malczyk dobiegł, zatrzymał się, jak wryty, u jego stóp.

„Cicho” — kazał żonie. — „Widzisz, jak on spokojnie patrzy... Straszna będzie za to kiedyś kara!”

Przyklęknął i próbował jeszcze, pogłaskawszy zmarłemu lodowatą twarz, przytknąć mu powieki. Powiedział przytem jakby do siebie tylko, cicho:

„Szkoda mi, żeby kto jeszcze w oczy mu się gapił”. Powieki nie dały się już szczelnie zamknąć i tak pozostał Jasio Mitek z nieomkniętymi oczami, w których wyraz przedśmiertny był jakby wyrazem spokoju.

Malczyk poszedł do dawnego swego związku (prorządowego) i stamtąd powiadomił strzelców. Ten związek był tuż pod ręką, zresztą było to dziś wszystko jedno! Prosił kolegów na skwer, w sprawie Mitka. Przyszło zaraz szeptu, że zgrozą odkrywali przed nim głowy...

„Wszystkie krzyże włożył, żeby ratować ludzi!” — wymówił jeden. — „Taki

był już człowiek” — szepnął inny — „Jak złoto”.

Malczyk objął komendę. „Odniesiemy go, obywatele, wojewodzie.. Inny nieboszczyk wołałby pewno do domu, no i rodzina.... Jasio był sam w życiu i Jasio był do końca żołnierz, choć bezrobotny... Jasio na taką randkę może sobie iść. On do końca już wypełni, co społeczny mus... Chodź, Jasieńku! Temu tam przed oczy stanąć!” Miłośnie, ostrożnie, pieśczołtliwie podnieśli, podtrzymywali mu głowę, tak nieśli go, jakby jeszcze czuł...

Widzieli to ludzie, dowiedziało się o tem wkrótce całe miasto. Jasio Mitek został złożony przez towarzyszy u wstępu do województwa. Tej dziwnej procesji nikt już jakoś nie potrafił przeszkodzić.

„Co panowie?! Co to, po co?” — zabiegł im drogę policjant z przed gmachu.

„A to strzelcy jesteście, żołnierze. Przynieśliśmy tu wojewodzie żołnierza, kawalera krzyżów, bezrobotnego”...

„Ale co też za kawał?! Będę musiał zatrzymać, legitymować panów!”

A trupa... — zawahał się. Złożyli trupa na stopniach. „On już tu zostanie; a nas to może pan legitymować, czy też do aresztu, to już jak tam panu wypad-

nie! My się nie boimy. Taki był nasz obo-
wiązek przy Jaśku do spełnienia...“

— — — — —

Miasto ogarniał mrok... Pustki na uli-
cach... Patrole policji w hełmach, z bag-
netami... Tam i ówdzie... korzystając
z zamętu, drobni złodziejaskowie upa-
trywali, czy niema okazji do upolowania
czego. Do wielkiego sklepu wyrobów
skórzanych, w którym wybito szybę
(w ulicy tej tłum robotniczy usiłował za-
barykadować się, zrywając w tym celu
z okien sklepów sztaby żelazne), podszedł
naprzód mały uczeń, oglądając się do-
koła. Miał skrupuły: ale w końcu wycią-
gnął wstydliwie z wystawy mały portfe-
lik skórzany i pomknął ze swoją zdoby-
czą. W kilka minut po nim do tej samej
wystawy podeszła młoda, bardzo ele-
gancka dama; upatrzyła sobie zupełnie
spokojnie torebkę z ozdobą z krokody-
lowej skóry i zabrała ją z wystawy, z mi-
ną dokonywania normalnej czynności.
Ktoś z bramy naprzeciw, chowając się od
kul, widział, że przedtem ani potem nikt
więcej nie odwiedził tej wystawy po wy-
biciu szyby, oraz że po wizycie damy wy-

stawę obstawiła już policja, zajmując tę
ulicę. To nie przeszkodziło, żeby naza-
jutrz zjawiała się w miejscowej prasie
wiadomość o zdemolowaniu przez robot-
ników wystawy tej firmy i o okradzeniu
jej w wysokości pięciu tysięcy złotych.

— — — — —

Ale to już były próby montażu legendy
o zakusach wywrotowych, zamierzonej
rewolucji, o panowaniu mętów nad mia-
stem i t. p.

W poniedziałek zaś — prócz śmierci
Mitka — siedem rodzin robotniczych na-
wiedziła śmierć, kilkudziesięciu rannych
zwieziono do szpitali i domów. Ilu z nich
jeszcze miało przyłączyć się nazajutrz do
zmarłych — nie wiedział nikt...

Taki był plon tego ranka w tem cał-
kiem zachodnim mieście...

VIII

NABIERZ OTUCHY!

Cóż można jeszcze dodać do tej krótkiej, a gorącej historii zatargu w fabryce „Szpilka“?

Chyba to, że tegoż dnia po południu zatarg został w inspekcji pracy załatwiony. Robotnicy uzyskali, jak żądali, 10% podwyżki płac, zobowiązanie rzetelnego obliczania ich przy wypłatach, zwolnienie z liczby robotników fabryki byłego delegata, Romana Gałkowskiego, zobowiązanie usunięcia „organizacji pracy“ Zielak-Zielnik. Pierwsze i trzecie — to były już realne zdobycze, co zaś do drugiego i czwartego — okazać miała dopiero przyszłość.

Poruszenie, jakie wytworzyło się w uczciwej opinii społeczeństwa dokoła metod postępowania administracji w tej sprawie, przeważały po upływie miesiąca — różne wpływy i stosunki, zapomocą których wojewoda utrzymywał się na

stanowisku po tym fakcie. A może — na zwolnienie wojewody złożyły się liczne, pobocznej natury, wypadki i zdarzenia polskie i międzynarodowe? Kto wie!

— — — — —

Potem, w dni kilka, odbywał się za zezwoleniem władz w mieście pogrzeb ofiar tamtego ranka. Sto tysięcy ludzi przyszło chować dziesięciu zmarłych. Prasa (ta sama, która meldowała o stratach skórzaney firmy) podawała liczbę uczestników na trzydzieści tysięcy. Żaden z mieszkańców miasta nie pomyli się w ocenie, która z tych liczb była prawdziwa. Z wyjątkiem oczywiście tych, którym leży na sercu ukrywanie, zniekształcanie, przeinaczanie rzeczywistości...

— — — — —

Szły tedy nieprzeliczone zastępy robotników i robotnic, inteligencji, chłopów z okolic, karnie spięte twardą klamrą robotniczej milicji. Szły tak, krok za krokiem, prowadząc przed sobą sztandary, oczywiście, czerwone!

Nie było związku robotniczego, który-

by w dniu tym chciał wyjść z innym sztandarem; członkowie zaś wszelkich związków — oficjalnie czy nieoficjalnie — uczestniczyli w pogrzebie.. Tłum postępował, niosąc za sztandarami trumny poległych, wystawione przez noc do odwiedzania i oddawania im hołdu w Domu Ludowym. Tak szedł polski robotnik, polski chłop, polski inteligent, ramię przy ramieniu, ożywieni jednakiem uczuciem — czci dla poległych, protestu przeciw takim metodom postępowania.

Była to bardzo żałobna uroczystość...

Długa i bardzo wymowna była chwila zbiorowego skupienia...

Ale z tej żałoby ciężkiej, z bólu tych stu tysięcy, z horyzontów jeszcze nie jasných, z wielkiego cierpienia ludu polskiego wyrastała już — ponad rzeczywistość, cierpienie, walkę i śmierć — wielka, zbiorowo odczuta ulga: jedność! jedność! wreszcie nadzieja ratunku, rękojmia zwycięstwa!

Wyrastało — niepokonane, ponad całą rzeczywistość rozpromieniające się:

Nabierz otuchy!



148052

SPIS RZECZY

Pareę słów wstępu	7
I. Pan majster	9
II. Zastępca robotniczy	49
III. Dyrektor fabryki	85
IV. Inspektor pracy	119
V. Polski strajk	151
VI. Ta noc...	179
VII. Ten ranek	217
VIII. Nabierz otuchy!	243

JAN PARANDOWSKI
NIEBO W PŁOMIENIACH

CENA ZŁ. 8.-

Znakomity pisarz podjął temat, nietknięty dotychczas w naszej literaturze, mianowicie: przełom religijny w duszy siedemnastoletniego chłopca, z którego to wielkie przeżycie robi myślącego człowieka. To co dotychczas było traktowane pobieżnie, „Niebo w płomieniach” przedstawia w głębokim i śmiałym zarysie psychologicznym, ukazując przejmujący rozwój utraty wiary i budowy nowego światopoglądu. Niewiele znajduje się w literaturze dzieł, któreby miały tak wysoki poziom intelektualny.

Wokół tego zasadniczego tematu grupują się inne motywy, wśród których na pierwsze miejsce wybija się czarująca pieśń miłosna dwojga młodych ludzi. Akcja toczy się w przedwojennym Lwowie, ukazując odrębność życia tej stolicy „koronnego kraju”, obraz społeczeństwa i wielki urok jednego z najpiękniejszych miast w Polsce.

Poprzednio wydano:

ODWIEDZINY I SPOTKANIA

CENA ZŁ. 5.-

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

0135306
Dział
Zachodni

MARIAN RUTH-BUCZKOWSKI
TRAGICZNE POKOLENIE

CENA ZŁ. 6.-

Głosy prasy:

W swym dobiucie prozatorskim okazał się Buczkowski rasowym powieściopisarzem... uderza w książce Buczkowskiego ciepły, osobisty ton poza którym kryje się wzruszenie i troska o prawdziwą twórczość. Chwilami powieść przypomina swym romantyzmem, połotem i patetyczną retoryką mussetowskie „Confession d'un enfant du siècle”, tyle jest w niej prawdy i szczerzej egzaltacji.

Emil Breiter — „Wiadomości Literackie”.

Styl Buczkowskiego, pozostający pod pewnym wpływem Żeromskiego jest bujny, żywy, wymowny, obrazowanie posiada dużo dynamiki, postacie epizodyczne zarysowane są plastycznie...

„Prosto z Mostu”.

Większe tu również bogactwo przeżyć, tworzywo psychologiczne przez nowe metody naukowe wydatnie rozszerzone i pogłębione, mocniej też rozwinięty realizm obserwujemy w opisie faktów...

„Tragiczne pokolenie”... jest debiutem poważnym i rokującym autorowi przyszłość literacką.

Kazimierz Czachowski — „Gazeta Polska”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

MARIA KUNCEWICZOWA
CUDZOZIEMKA

„Cudzoziemka” jest to portret kobiety złej, która całe swe otoczenie zatrąwa dziwnym fermentem złości i hysterii z niej emanującym. Autorka stwarza przed nami typ wyższej sekulnicy, jakiejś syntezy z furii i muzy, gdyż Róża jest przy tym wszystkim wielką indywidualnością, nie mieszczącą się w ramach powszedniości, w granicach zakreślonych jej środowiskiem. Bije od niej jakaś siła, która potęguje życie dokoła niej, zażęga je ogniem dziwnej intensywności, sprawia, że staje się ono bujne, piękne i żarliwe. Róża dusi się w ciasnocie swego życia i złośliwość jej jest reakcją, protestem przeciwko tej ciasnocie. Mszcząc się za małość życia, czując się siłą niszczącą, destruktywną, nie zdobywa się ona nigdy na właściwe niszczenie. Nie może działać wbrew wyższemu prawu swej natury, wbrew swej istocie, która jest twórcza i pozytywna. Cierpienie spada tylko na nią samą, otoczenie rośnie jej siłą. Nie należy tu przedstawiać utartego schematu: szorstka powierzchnia, ale złote serce. Nie, Róża jest naprawdę zła. Raczej możnaby tę pasję dopingowania otoczenia, podciągania go na wyższy stopień uważać za pretekst do dręczenia i do dokuczania. Dialektyka Kuncewiczowej pozostawia otwartą tę kwestię, jak wogóle z pewną perfidią ukazuje ona dwuznaczność i łaskotliwość podobnych problemów. Posiada ona dar ujawniania dziwnej kazuistyki życia. Pod jej ręką zastrzają się problemy do paradoksu, schematy rozprzegają się, wyrodnieją i okazują skłonność do przejścia w swą antytezę. Czym jest złość? Jaka jest jej rola w gospodarce sił ludzkich? Czy złość nie może być dobrocią, a dobroć złością?

Osobny rozdział należałoby poświęcić mistrzostwu formy Kuncewiczowej. Punktami kulminacyjnymi tej formy są transpozycje muzyki o piękności wprost niezrównanej. Kuncewiczowa osiąga tu szczyty najczystszej liryki; sam ekstrakt poezji.

Bruno Schulz, Tygodnik Ilustrowany.

Poprzednio ukazały się:

DYLIŻANS WARSZAWSKI
DWA KSIĘŻYCE

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

JÓZEF WITTLIN

SÓL ZIEMI

CENA ZŁ. 8.-

Wittlin z wielką siłą sugestywną wskrzesza przed nami realistyczny obraz rzeczywistości z przed lat dwudziestu, nie niepokojąc się o to, że temat nie jest świeży, że trudno uderzyć w nowy mocny styl po tylu znakomitych poprzednikach. Pomysłowość utworu jest znaczna, język prosty i szarmizowany, a delikatny grymas ironii, przewijający się pod gładką powierzchni narracji dodaje mu sporo wagi artystycznej.

Kurjer Warszawski.

„Sól ziemi” nie jest powieścią w ścisłym znaczeniu tego słowa. Jest to raczej arcywspółczesny, rozumowy rapsod na cześć „szarego człowieka”, rodzaj studium powieściowego na temat odysei żołnierskiej cywila. Autor wywiódł go z nicości i ulokował pośrodku wielkich zdarzeń dziejowych... Celem artystycznym pisarza było odzwierciedlenie światowych wstrząśnień w światku małego człowieka, przełamanie historycznego losu ludzkości w losie anonimowej jednostki, a więc wydobycie najbardziej ludzkiego i bodaj żalostnego tonu z chaosu kosmicznych wypadków.

Leon Pomirowski, Tygodnik Ilustrowany.

„Sól ziemi” wyrasta gdzieś z najistotniejszych, najgłębszych pokładów duszy autora, jest owocem i wykwitem najserdeczniejszych doznań, przemyśleń, umiowań i nienawiści i właśnie dlatego zmusi Wittlina do pozostania przy sobie tak długo, dopóki nie wyrzuci z siebie naprawdę wszystkiego, co w związku z nią ma do powiedzenia.

A. Chor, Kurjer Polski.

Poprzednio wydano tego autora:

ETAPY

CENA ZŁ. 4.50

Każdy, kto lubi wędrowkę przez wieki kultury ducha ludzkiego, od starej Grecji, aż do ostatnich błysków „esprit” Anatola France’a, odnajdzie w Wittlinie brata i przyjaciela..

L. H. Morstin, Gazeta Polska.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

ZOFIA KOSSAK (SZCZUCKA)

NIEZNANY KRAJ

CENA ZŁ. 8.-

Powieść Kossak-Szczuckiej, nagrodzona pierwszą nagrodą na Konkursie śląskim, wypełnia dotkliwą lukę w literaturze polskiej. Nikt nie był bardziej uprawniony do tego, by pokazać czytelnikowi polskiemu „nieznany kraj”, tę ziemię tak nam bliską, a tak dotychczas obcą dla wielu. Powstaje z tej pięknej książki obraz Śląska w całym swym bogactwie, w całym przepychu barw. Historia tej ziemi, dzieje jej rozwoju, nieustraszona jej walka o czystość duszy narodowej — wszystko to znalazło w Kossak-Szczuckiej nie tylko sumiennego badacza i gorliwego rzecznika, lecz przedewszystkiem współczujące serce, płomień miłości, ogarniającej tę ziemię od krańca do krańca.

Książka ta, zalecona do bibliotek szkolnych i żołnierskich, znaleźć się powinna w każdym polskim domu.

ar.

POŻOGA

CENA ZŁ. 3.-

„Pożoga” to obraz zmagania i walk polskośći z zalewem bolszewickim na Ukrainie. Znakomity rozmach epicki, niespotykany w całej literaturze współczesnej, nasuwa nieodparte porównania z Sienkiewiczem. Bo też niezwykła plastyka postaci, wspaniałe wycucie obrazu, pełnia i soczystość stylu „Pożogi” istotnie sięgają szczytów sztuki pisarskiej.

BEATUM SCELUS

CENA ZŁ. 2.-

„Beatum scelus” — to pełen swoistego wdzięku obrazek z szlacheckiej przeszłości. Trzeba nie tylko gruntownej wiedzy historycznej, głębokiej znajomości czasów i ludzi, by stworzyć tak wierny i tak żywy wizerunek, trzeba na to nieomyślnej intuicji historycznego pisarza, trzeba znakomitego władania słowem, wycucia jego barwy, jego dziejów i jego czaru.

SZUKAJCIE PRZYJACIÓŁ

CENA ZŁ. 2.50

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

POLA GOJAWICZYŃSKA
DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPEK

2 TOMY – CENA ZŁ. 14.–

W ramach tego wątku rozwinęła autorka największe bogactwo pomysłów, sytuacji. Nie ma tu żadnych uogólnień abstrakcyjnych, gdyż autorka stoi zawsze na realnym gruncie ludzkiego życia...

Kazimierz Czachowski „Prosto z Mostu“.

P O W S Z E D N I D Z I E Ń

CENA ZŁ. 5.–

Widownią opowiadań jest Śląsk i sprawy ludzi śląskich. W opowiadaniach tych znika od razu wszelkie oddalenie: rozumiemy Ślązaków tak dobrze, że lepiej rozumieć nie można. Zdumiewająca bezpośredniość ekspresji i oryginalna żywość stylu daje nam postacie plastyczne o wyrazistych profilach.

Paweł Hulka-Laskowski — „Tyg. Ilustrowany“.

Z I E M I A E L Ź B I E T Y

CENA ZŁ. 3.–

Wstrząsająca, świetna, mądra książka, świadcząca o osiągniętej pełni i dojrzałości talentu. Aktualność tak podana stawia Gojawiczyńską w rzędzie największych naszych pisarzy: — Nadaje jej książce miano nie tylko wielkiego wyczynu artystycznego, ale i wyczynu społecznego w najidealniejszym tego słowa znaczeniu.

Janina Strzelecka „Kurjer Poranny“.

W druku

G Ó R N O Ś Ł A Z A C Z K A

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”